

Czas na kolejny odcinek podcastu Fenestry. Zeskanujcie znajdujący się obok kod QR, by posłuchać rozmowy o przegłosowaniu przez Sejm zakazu hodowli zwierząt na futra. Zapraszamy do odsłuchu!



Film „Chopin, Chopin!” próbuje ukazać Fryderyka Chopina w niecodziennej odsłonie. Z szacunkiem zagląda w umysł polskiego kompozytora, ale nadal jest przy tym brutalnie szczery. Czy jest to jednak dobra produkcja? Zachęcamy do przeczytania recenzji na stronie 10.

10

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 120 ■ LISTOPAD 2025

Organizacje zajmujące się ochroną praw zwierząt wreszcie mogą odetchnąć, przynajmniej na razie. Po latach oczekiwania Sejm przyjął bowiem ustawę o zakazie hodowli zwierząt na futra. Nowelizację poprzedziło wiele działań, w tym reportaże i śledztwa na fermach futrzarskich. Jak na ten projekt zareagowała branża futrzarska? I na ile pewne jest faktycznie wprowadzenie zmiany?

Przyjęta przez Sejm 17 października długo wyczekiwana nowelizacja ustawy musi jeszcze uzyskać aprobatę Senatu i podpis Prezydenta. W sejmowym głosowaniu projekt zdobył poparcie zdecydowanej większości posłanek i posłów. Za uchwaleniem ustawy głosowało 339 osób zasiadających w sejmowych ławach. Przeciw było jedynie 78, a 19 wstrzymało się od głosu. Zaskakujące mogło być poparcie dla ustawy udzielone przez Polskie Stronnictwo Ludowe. Spośród tej partii przeciwko nowelizacji głosował jedynie Stefan Krajewski, Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Jest on jedynym przedstawicielem nie tylko PSL, ale też całej koalicji rządzącej, który sprzeciwił się nowelizacji. Poparła ją również większość posłów Prawa i Sprawiedliwości, w tym prezes ugrupowania, Jarosław Kaczyński. Po głosowaniu, dziennikarce stacji TVN powiedział, że był zdecydowanym zwolennikiem tej zmiany i stwierdził, że: „rozwiązanie nie jest takie, jakbym chciał, bo bym chciał, żeby to ucięto szybko, radykalnie, ale na to możliwości nie było i w związku z tym poparliśmy”. Całkowicie projektowi sprzeciwiła się z kolei Konfederacja.

Autorką ustawy jest posłanka Zielonych, Małgorzata Tracz.



Flickr.com, Licencja - CC BY 2.0 Attribution 2.0 Generic Deed, Otwarte Klatki, Autor - Andrew Skowron.

Już po futrze?

Od lat media obiegają obrazy ukazujące brutalne warunki panujące w fermach futerkowych.

”O zmianę okresu przejściowego i szczegóły ustawy zapytaliśmy stowarzyszenie Otwarte Klatki, zajmujące się ochroną praw zwierząt: – Ostatecznie w wyniku prac Komisji Nadzwyczajnej ds. ochrony zwierząt okres przejściowy wydłużono do lat ośmiu, i to jest największa zmiana – jest to kompromis pomiędzy stroną społeczną a hodowcami, którzy domagali się 15 lat – mówi przedstawiciel organizacji Otwarte Klatki.

– Przyjęcie ustawy tak dużą większością głosów odzwierciedla, że zarówno w polskim społeczeństwie, jak i w Sejmie jest bardzo duże poparcie dla zakazu. To efekt wieloletniej pracy wielu osób i organizacji, które budowały tę świadomość społeczną. Posłanka Małgorzata Tracz walczyła o wpro-

wadzenie zakazu od 10 lat. Był to jeden z jej postulatów, z którym kandydowała do Sejmu. Na przykładzie nieudanej próby wprowadzenia tzw. piątki dla zwierząt widać było, że tylko wypracowanie kompromisu i porozumienia ponad podziałami doprowadzi do przyjęcia zakazu hodowli zwierząt na fut-

ra – skomentowali dla nas przedstawiciele biura parlamentarzystki odpowiedzialnej za nowelizację ustawy.

Kształt projektu

Nowelizacja ustawy została złożona jeszcze w 2024 roku. Początkowo jej projekt zakładał okres przejściowy pięciu lat, w trakcie którego hodowcy mogliby jeszcze prowadzić kontrowersyjną działalność. Podczas prac nad ustawą został on wydłużony o kolejne trzy lata. Rozwiązania zawarte w ustawie przewidują odszkodowania dla właścicieli ferm futerkowych. Ich wysokość zależy od czasu, w którym hodowca zakończy swoją działalność. Dla osób, które uczynią to przed 2027 rokiem, państwo ma

wypłacić rekompensatę w wysokości 25% średniego rocznego przychodu. Kwota odszkodowania maleje wraz z późniejszym czasem zamknięcia fermy. Hodowcy, którzy nie zamkną działalności do 2031 roku, nie otrzymają jakichkolwiek wypłat.

O zmianę okresu przejściowego i szczegóły ustawy zapytaliśmy stowarzyszenie Otwarte Klatki, zajmujące się ochroną praw zwierząt: – Ostatecznie w wyniku prac Komisji Nadzwyczajnej ds. ochrony zwierząt okres przejściowy wydłużono do lat ośmiu, i to jest największa zmiana – jest to kompromis pomiędzy stroną społeczną a hodowcami, którzy domagali się

dokończenie na str. 3

Pokojowy Nobel w cieniu dyktatury

Rozważania o tym, kto w tym roku otrzyma –prezizowe wyróżnienie za starania na rzecz pokoju swoimi działaniami i prowadzoną narracją zdominował Donald Trump. Prezydent Stanów Zjednoczonych był nawet nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla, ale musiał obejść się smakiem. W tym roku przedstawiciele Norweskiego Komitetu Noblowskiego wręczyli ją bowiem wenezuelskiej działaczce Marii Corinie Machado, przywódczyni antymadurowskiej opozycji w Wenezueli.



Machado od lat walczy z dyktaturą Maduro, stanowiąc symbol oporu Wenezuelczyków wobec władzy.

Oponad 25 lat w Wenezueli rządzą tak zwani chawiści. Nazwa ich ruchu pochodzi od prekursora tej doktryny – Hugo Chaveza, prezydenta Wenezueli w latach 1999-2013. Chawizm bywa często określany jako nurt marksizmu, a sam prezydent wielokrotnie publicznie do niego nawiązywał, określając swój reżim mianem socjalizmu XXI wieku. Zwolennicy tej opcji politycznej w swej retoryce chętnie nawiązują do ojca założyciela Wenezueli i bohatera wojen o niepodległość krajów Ameryki Łacińskiej, Simona Bolívara. Chawiści postrzegają swoją władzę w Wenezueli jako kontynuację walki Bolívara. Określają ją mianem rewolucji boliwariańskiej, która ma dopełnić wyzwolenie spod władzy kolonialnej oraz zagranicznej i wewnętrznej opresji gospodarczej zwykłych ludzi. Do grona chawistów zaliczana jest obecna głowa państwa, Nicolas Maduro, przedstawiciel Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Wenezueli. Warto wspomnieć, iż Maduro nie jest uznawany przez Stany Zjednoczone, większość państw Ameryki Łacińskiej oraz kilkanaście europejskich. Powodem tego jest sprawowanie przez niego władzy dyktatorskiej od czasu sfałszowania wyborów prezydenckich w 2018 roku. 10 stycznia bieżącego roku Maduro został zaprzysiężony na swoją trzecią kadencję.

Kraj na skraju katastrofy

Nicolas Maduro pełni funkcję głowy państwa nieprzerwanie od 5 marca 2013 roku. Jako wiceprezydent za czasów niegdyś uwielbianego Chaveza i jego polityczny spadkobierca miał kontynuować opozycyjną politykę wobec Stanów Zjed-

noczonych i budowę socjalistycznego dobrobytu. W Wenezueli pod jego rządami wybuchł jednak kryzys, zarówno gospodarczy, jak i kryminalny. Kartele narkotykowe rosły w siłę, a prezydent nie reaguje. „El Tren de Aragua” to jeden z najbardziej niebezpiecznych karteli tamtego rejonu, który nie tylko nie jest skutecznie zwalczany przez organy państwa, ale wręcz poszerza swoje pole działania. Dotarł już do Kolumbii, Ekwadoru oraz Brazylii i zaczyna zagrażać nawet Stanom Zjednoczonym. 23 października, pod pretekstem walki z kartelem, Donald Trump wysłał w stronę Wenezueli dwa bombowce. Doszło także do ataków na łodzie, które miały być zamieszcane w przemyśle narkotyków. Można się łatwo domyślić, że demonstracja siły miała ostrzec Nicolasa Maduro, że jego reżim nie jest Stanom Zjednoczonym na rękę. Wenezuela stanowi dodatkowo ważną strefę wpływów, a na jej terenie znajdują się złoża ropy naftowej, więc panujący tam chaos nie przynosi nikomu korzyści.

Już od roku 2014 w Wenezueli dochodzi do protestów z powodu korupcji, rosnącej inflacji i niekompetencji administracji prezydenta w zwalczaniu przestępczości. Od początku rządów Maduro z rąk policji zginęło kilkadziesiąt osób. Setki demonstrujących zostało aresztowanych, a miliony zwykłych Wenezuelczyków zmuszonych do ucieczki z kraju. Pomimo chęci opozycji do rozmów, nie udało się osiągnąć porozumienia, Maduro nie ustąpił. Już w 2020 roku został on

” Już od roku 2014 w Wenezueli dochodzi do protestów z powodu korupcji, rosnącej inflacji i niekompetencji administracji prezydenta w zwalczaniu przestępczości. Od początku rządów Maduro z rąk policji zginęło kilkadziesiąt osób. Setki demonstrujących zostało aresztowanych, a miliony zwykłych Wenezuelczyków zmuszonych do ucieczki z kraju.

oskarżony przez Stany Zjednoczone o narkoterrozm. Osoby związane z jego reżimem mają według rządu USA zapewnić materialne wsparcie zagranicznym organizacjom terrorystycznym i kartelom, takim jak „El Tren de Aragua” i kartel Sinaloa.

Opozycja działa w kraju bardzo wyraźnie. Warto wyróżnić między innymi osoby, które pełniły obowiązki prezydenckie w Wenezueli – Juana Guaidó i Edmundo González Urrutię. Podczas kolejnej fali antyreżimowych protestów w 2019 roku Guaidó ogłosił się tymczasowym prezydentem Wenezueli i został uznany na arenie międzynarodowej przez ponad 50 krajów. Po trzyletnim sprawowaniu urzędu opozycyjni deputowani Zgromadzenia Narodowego podjęli decyzję o zdymisjonowaniu Juana Guaidó i rozwiązaniu jego rządu tymczasowego. Jego następcą został Urrutia. Ten prezydent również został poskromiony przez Nicolasa Maduro. Wydano nakaz jego aresztowania, lecz 8 września 2024 roku został mu udzielony azyl polityczny w Hiszpanii. Później Parlament Europejski w rezolucji uznał Guaidó prawowitym prezydentem Wenezueli, a on

sam zapowiedział powrót do kraju w celu objęcia urzędu.

Nowa nadzieja?

Kolejną z liderów wenezuelskiej opozycji jest nagrodzona Noblem Maria Corina Machado. W latach 2011-2014 była deputowaną do Zgromadzenia Ogólnego, czyli jednoizbowego parlamentu Wenezueli, uzyskując najlepszy wynik w kraju. Jej również Maduro utrudniał objęcie istotnych funkcji w wenezuelskim życiu politycznym. W 2014 roku podczas wystąpienia na forum Stałej Rady Organizacji Państw Amerykańskich publicznie potępiła łamanie praw człowieka w swojej ojczyźnie, za co odebrano jej bierne prawo wyborcze. Przed rokiem miała zostać kandydatką na prezydenta Wenezueli, jednakże reżim jej na to nie pozwolił. Sąd Najwyższy utrzymał odebranie Machado praw wyborczych, która wobec tego poparła kandydaturę Edmunda González Urrutii.

Machado jest zwolenniczką kapitalizmu i demokracji. W swoich przemówieniach wielokrotnie nawiązywała do „moralnej siły kapitalizmu” i „etyki pracy”. Jednocześnie otwarcie mówi o swoim popar-

ciu dla Donalda Trumpa. Po odebraniu Pokojowej Nagrody Nobla zadedykowała ją swojej ojczyźnie i właśnie prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Mówiła: „Nagrodę tę dedykuję cierpiącemu narodowi Wenezueli i prezydentowi Trumpowi za jego zdecydowane wsparcie naszej sprawy”. Jak podaje TVN24, podczas rozmowy telefonicznej z Trumpem powiedziała, że przyjmuje nagrodę na jego cześć, ponieważ na to zasłużył. Machado popiera także między innymi premiera Izraela Benjamina Netanjahu, który jak powszechnie wiadomo jest ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny jako zbrodniarz wojenny. Sprzeciwia się uznawaniu za ludobójstwo okupacji Strefy Gazy i tak negatywnej ocenie wydarzeń, które mają tam miejsce.

Znak ostrzegawczy

Doktor Aleksandra Admiszyn-Kontek z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, specjalizująca się w procesie demokratyzacji państw Ameryki Łacińskiej skomentowała dla nas decyzję o wyróżnieniu wenezuelskiej polityczki: – Przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Marii Corinie Machado było decyzją, która miała podkreślić znaczenie walki jednostek z autorytarnymi reżimami oraz uhonorować odwagę w dążeniu do wolności, praworządności i poszanowania praw człowieka. Choć kontrowersje wokół tej nagrody pojawiają się regularnie, trudno zaprzeczyć, że Machado stała się symbolem sprzeciwu wobec niesprawiedliwości i braku demokracji w Wenezueli. Warto jednak zauważyć, że Machado – liderka opozycji wobec rządów Nicolasa Maduro – została nominowana przez grupę amerykańskich polityków republikańskich, w tym senatora Marco Rubia oraz ambasadora przy ONZ Michaela Waltza. W tym samym kontekście wspomniano również o nominacji Donalda Trumpa, mającej stanowić uznanie jego działań na rzecz „światowego pokoju”.

Dla Wenezuelczyków Machado może być nadzieją, że kiedyś uda obalić się rządy Maduro. Choć prezydent dał się poznać jako polityk, który bez skrupułów zwalcza swoich przeciwników, uciekając się do nieczystych zagrań, przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla jednej z twarzy opozycji jest wyraźnym znakiem ostrzegawczym i sygnałem, że świat nie pozostaje obojętny na los Wenezueli. Przed Machado stoi teraz zadanie, by otrzymane wyróżnienie przekuć w ruch, który realnie przeciwstawi się Maduro i da przykład innym narodom, że można uwolnić się spod dyktatorskiego uścisku oraz zaważać o własną wolność.

Nicole KRAKOWSKA

dokończenie ze str. 1

15 lat – mówi przedstawiciel organizacji Otwarte Klatki. – Z naszej perspektywy – na szkodę zwierząt, ale rozumiemy, że trzeba wziąć pod uwagę warunki wszystkich zainteresowanych stron. Liczymy na to, że ze względu na to, jak skonstruowany jest system odszkodowań – hodowcy będą mogli ubiegać się o nie tylko w ciągu pierwszych pięciu lat funkcjonowania zakazu, a im szybciej zamkną działalność, tym większe odszkodowanie otrzymają – większość ferm zamknie się szybciej niż maksymalny okres – dodaje.

Warto zaznaczyć, że zakaz hodowli na futra nie obejmuje królików. W projekcie możemy przeczytać, że „zabrania się chowu lub hodowli w celach komercyjnych zwierząt futerkowych (...), z wyjątkiem królika. Podobny przepis znalazł się w obrębie ustawy, którą Sejm próbował uchwalić w 2020 roku, w ramach tak zwanej Piątki dla zwierząt. O nieuwzględnieniu królika w zakazie chowu na futra wypowiedziała się sama autorka ustawy, Małgorzata Tracz. Na profilu na Facebooku napisała, że powodem wykluczenia tego zwierzęcia z zakazu jest fakt, iż projekt „nigdy nie uzyskałby (...) większości w Sejmie i zakazu nie byłoby w ogóle”. Posłanka stwierdziła, że króliki w Polsce hodowane są na mięso, przez co projekt je obejmujący nie miałby racji bytu.

Warunki na fermach

Stan, w jakim znajdują się zwierzęta hodowlane na futro, był dokumentowany przez wiele organizacji zajmujących się ich ochroną. W 2025 roku stowarzyszenie Otwarte Klatki skontrolowało hodowle zwierząt futerkowych w zachodniej i centralnej Polsce. Jak podaje organizacja, podczas działań ujawniono „szczeniaki duszące się między prętami klatek, matki czuwające nad martwymi młodymi” oraz zwierzęta z otwartymi i nieleczonymi ranami. Z kolei w 2016 aktywista Otwartych Klatek potajemnie nagrywał swoją pracę na fermie nerek. Na nagraniach można zaobserwować sparaliżowane i mające otwarte, nieleczone rany norki. Ukazano też ich brutalne bicie przez personel.

Warto zaznaczyć, że jednym z głośniejszych medialnych śledztw było to przeprowadzone w 2020 roku przez Onet.pl we współpracy ze stowarzyszeniem Otwarte Klatki. Reportaż „Krwawy biznes futerkowców” zintensyfikował polską debatę nad zakazem funkcjonowania hodowli na futra. Aktywista organizacji, podjąwszy pracę na fermie nerek w Góreczkach, rejestrował realia panujące w tym miejscu. Do ogólnopolskich mediów trafiły drastyczne nagrania przedstawiające sparaliżowane norki z toczącą się z pyska pianą, zranione zwierzęta z najprawdopodobniej



Przejęcie ustawy przez Sejm to ważny krok na drodze do zakazu hodowli na futra.

oderwanymi płatkami skóry i odsłoniętymi kośćmi oraz pracowników przedsiębiorstwa rzucających stworzeniami o kraty. Materiał ukazuje również rozerwane ciała nerek i szczucie ich psami.

Liczne śledztwa i reportaże dotyczące traktowania nerek wielokrotnie wywoływały oburzenie dużej części polskiego społeczeństwa. Poruszenie zbiegło się z nieudaną próbą uchwalenia wspomnianej wcześniej ustawy potocznie nazywanej „Piątka dla zwierząt”. Projektu, mimo że był popierany przez Jarosława Kaczyńskiego, nie udało się uchwalić. Ustawę intensywnie krytykowała wówczas branża futrzarska. W medialne wsparcie ho-

„Wiele organizacji zajmujących się ochroną praw zwierząt uznaje uchwalenie projektu za sukces. Nie jest to jednak koniec drogi legislacyjnej ustawy. Musi ona jeszcze uzyskać zgodę Senatu i Prezydenta. Ta druga nie jest jednak pewna, biorąc pod uwagę konserwatywne poglądy Karola Nawrockiego i częste kierowanie się przez niego, zwłaszcza podczas kampanii prezydenckiej, preferencjami elektoratu Konfederacji.

dowców zaangażowała się wtedy, należąca do toruńskiego redemptorysty Tadeusza Rydyzka, telewizja Trwam. Na jej antenie prawa do hodowli zwierząt na futra w 2020 roku bronił między innymi Szczepan

Wójcik, wówczas jeden z nieformalnych liderów protestów właścicieli ferm i potentant w branży futrzarskiej: – Nie chodzi tylko o zwierzęta futerkowe, nie chodzi o ubój rytualny, to chodzi o pewną

ideologię, o czym mówimy od dawna. Od lat ostrzegamy, że jest proces, który dzieje się na naszych oczach, proces humanizowania zwierząt, animalizowania człowieka, zrównywania praw jednych i drugich – stwierdził.

To jeszcze nie koniec

Obecnie branża futrzarska też wyraża swoje niezadowolenie. Ustawę na naszą prośbę skomentował Polski Związek Hodowców Zwierząt Futerkowych: „Proponowane przez Rząd w Ustawie odszkodowania są niewystarczające. W krajach z rozwiniętym sektorem hodowli zwierząt futerkowych takich jak: Dania, Holandia i Norwegia, w których zdecydowano się na wygaszenie hodowli, wypłacono hodowcom odszkodowania ponad 10-krotnie wyższe od proponowanych w Ustawie oraz zwrot kosztów rozbiórki ferm, a także ułatwienia w przebranzowaniu”. Organizacja w przesłanym nam dokumencie nie odnosiła się bezpośrednio do kwestii dobrostanu zwierząt hodowanych na futra.

Wiele organizacji zajmujących się ochroną praw zwierząt uznaje uchwalenie projektu za sukces. Nie jest to jednak koniec drogi legislacyjnej ustawy. Musi ona jeszcze uzyskać zgodę Senatu i Prezydenta. Ta druga nie jest jednak pewna, biorąc pod uwagę konserwatywne poglądy Karola Nawrockiego i częste kierowanie się przez niego, zwłaszcza podczas kampanii prezydenckiej, preferencjami elektoratu Konfederacji. Wobec tego organizacje walczące o prawa zwierząt będą jeszcze żyły w niepewności czy ich wieloletnie wysiłki wreszcie się opłacą i los istot futerkowych wreszcie się poprawi.



Autorka ustawy – posłanka Małgorzata Tracz ma powody do zadowolenia.

Leo TARGONI

W sercu Zielonej Góry, tuż przy wejściu do Szpitala Uniwersyteckiego, stała niedawno bachantka „Zdrowitka” – figurka w stylu popularnych bachusików. Miała być sympatycznym hołdem dla personelu medycznego, a stała się jednym z najbardziej kontrowersyjnych symboli profesji. Ubrana w obcisły, krótki fartuszek, z dużym dekoltem i strzykawką w dłoni, od razu wzbudziła emocje. Czy rzeczywiście była tylko żartem, czy raczej utrwała stereotyp, który krzywdzi kobiety pracujące w ochronie zdrowia?

Tradycja bachantek – żartobliwych figurek przedstawiających bóstwa winy i zabawy – to duma Zielonej Góry. Rozsiane po całym mieście, wykonane z brązu postacie bachusików od lat przyciągają wielu turystów. Ich figlarny charakter i lekki erotyzm były dotąd odbierane z przymrużeniem oka. Nic więc dziwnego, że pomysł ustawienia kolejnej rzeźby – tym razem „medycznej” – wydawał się wielu mieszkańcom naturalnym rozwinięciem tradycji. Autorem „Zdrowitki” jest Artur Wochniak – twórca większości zielonogórskich bachusików. Jak tłumaczył w rozmowie z portalem wzielonej.pl, jego intencją było stworzenie postaci kobiecej, ponieważ w szpitalu pracuje głównie personel żeński: „Zdecydowałem, że będzie to bachantka, nie bachusik. Chciałem, by przypominała postać w stylu Lary Croft – silną, pewną siebie, a przy tym z humorem”. Odbiór pracy okazał się jednak zupełnie inny.

Kiedy figura stanęła przed szpitalem, media społecznościowe zaalała fala komentarzy. Część mieszkańców chwaliła pomysł, ale wielu nie kryło oburzenia. „To wygląda jak reklama wieczoru kawalerskiego, nie hołd dla pielęgniarek” – nie krył oburzenia jeden z internautów. Zareagowała też Okręgowa Izba Pielęgniarek i Położnych Zielonej Góry wydając oświadczenie, w którym określiła rzeźbę „uprzedmiotawiającą i umniejszającą rangę zawodu”. Jak czytamy w stanowisku: „Sprowadzanie pielęgniarki do atrakcyjnego ciała w minispódniczce i szpilkach nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Nasz zawód wymaga wiedzy, odpowiedzialności i empatii, a nie wdzięku rodem z kabaretu”. Wochniak, zaskoczony

Kiedy żart staje się **zniewagą**



Środowisko pielęgniarek poczuło się dotknięte rzeźbą bachantki.

”W sieci pojawiła się petycja o usunięcie rzeźby sprzed szpitala, podpisana przez setki osób. Niedługo później ktoś obandażował figurkę, zakrywając jej ciało białym materiałem – jakby próbując uleczyć błąd twórcy. Władze miasta zapowiedziały przeniesienie rzeźby w inne miejsce, a sama „Zdrowitka” stała się lokalnym symbolem nieporozumienia między sztuką a społeczną wrażliwością.

skalą reakcji, skomentował sprawę dla „Gazety Lubuskiej”: „Mój szacunek do pielęgniarek jest na jak najwyższym poziomie: 10 na 10. Uważam, że pielęgniarki są odważne, pracowite, cenię je za zaangażowanie i poświęcenie”. Sytuacja jednak stopniowo eskalowała. W sieci pojawiła się petycja o usu-

nięcie rzeźby sprzed szpitala, podpisana przez setki osób. Niedługo później ktoś obandażował figurkę, zakrywając jej ciało białym materiałem – jakby próbując uleczyć błąd twórcy. Władze miasta zapowiedziały przeniesienie rzeźby w inne miejsce, a sama „Zdrowitka” stała się lokalnym symbolem nie-

porozumienia między sztuką a społeczną wrażliwością.

To tylko rzeźba?

Czy jednak cała sprawa nie została zbyt rodmuchana? Zielonogórskie bachusiki zawsze były figlarnie, czasem wręcz nieprzyzwoite, a mimo to traktowano je z humorem. Wielu mieszkańców wskazuje, że w całej historii zabrakło dystansu, a przecież tradycja bachantów i bachusek od zawsze opierała się na żarcie, ironii i lekkim mrugnięciu oka. Czy faktycznie można jednak mówić o poczuciu humoru, gdy żart dotyka grupy zawodowej, która od lat mierzy się z brakiem szacunku, przemęczeniem i deprecjonowaniem przez społeczeństwo? Pielęgniarki należą do najbar-

dziej obciążonych zawodów w polskim systemie zdrowia. Według raportu Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych średni wiek pracowniczki służby zdrowia w Polsce przekroczył już 53 lata, a liczba osób wykonujących ten zawód dramatycznie spada. W większości pełniące te rolę kobiety często pracują ponad normę, w systemie zmianowym, zmagając się z presją, brakiem personelu i niedofinansowaniem. Jednocześnie muszą radzić sobie z niechcianymi komentarzami, aluzjami i stereotypem „seksownej pielęgniarki”, który – jak pokazują badania – jest znacznie trwalszy, niż mogłoby się to wydawać. Według analiz opublikowanych w czasopiśmie „Psychiatria Polska”, aż 78% tej grupy zawodowej w Polsce doświadczyło przemocy lub agresji w pracy, a niemal 98% było jej świadkami. Co więcej, ponad 53% kobiet pracujących w ochronie zdrowia, zgodnie z raportem „Szpitalne #MeToo”, zetknęło się z molestowaniem seksualnym lub komentarzami o charakterze erotycznym. 10,4% ankietowanych deklaro- wało, że były dotykane w sposób niepożądany, a ponad 4% doświadczyło próby gwałtu. To dane, które trudno zbyć wzruszeniem ramion.

W tym kontekście „seksowna pielęgniarka” to nie tylko niegroźny żart, lecz utrwalony w kulturze obraz, który realnie rani i odbiera godność kobietom w tym zawodzie. To kliša obecna w filmach, reklamach, kabaretach i dowcipach, sprowadzająca kobiety w medycynie do roli ozdoby. Elżbieta Baliszewska, przewodnicząca Izby Pielęgniarek powiedziała „Gazecie Lubuskiej”: „symbolika ma ogromne znaczenie. Takie przedstawienia nie są niewinne, podtrzymują przekonanie, że kobieta w fartuszkach jest bardziej ozdobą niż profesjonalistką”. Rzeźba, choć niewielka, stoi przecież w miejscu, które samo w sobie niesie silny ładunek emocjonalny – przed szpitalem, w którym każdego dnia walczy się o zdrowie i życie ludzi. W takim kontekście frywolność przestaje być żartem i staje się brakiem empatii.

Nie chodzi o to, by zakazać humoru czy artystycznej swobody. Sztuka publiczna ma prawo prowokować, ale powinna też znać swoje granice i kontekst. W przestrzeni miejskiej, na rynku, w parku, wśród bachusików z winogronami, lekki erotyzm może bawić. Jednak w sztuce, jak w medycynie, liczy się precyzja. A tu zabrakło diagnozy społecznej, kulturowej i zwykłego ludzkiego wyczucia. „Zdrowitka” stała się przypadkiem, pokazującym, że nie każda rzeźba jest tylko upustem artyzmu twórcy. Niektóre potrafią otworzyć rany – nie na ciele, lecz w poczuciu godności tych, których miały uhonorować.



Bachusiki to nieodłączny element krajobrazu Zielonej Góry.

Oliwia MAZIOPA

Zdjęcie: pxhere.com / Creative Commons CC0, Domena publiczna

Afrykańskie **sztandary** Dżihadu

Rzadko kiedy możemy w polskich mediach usłyszeć o zdarzeniach rozgrywających się w różnych częściach tzw. Globalnego Południa. Naszą uwagę przykuwa wojna na Ukrainie, wydarzenia w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej, a przede wszystkim nasza polityka wewnętrzna. Nie oznacza to jednak, że nie dzieją się tam rzeczy ważne, czy wręcz wymagające naszej uwagi.

Powszechna bieda, zmiana klimatu, niestabilne rządy – oto mieszanka wybuchowa, która w ostatnich latach pchnęła region Sahelu (pograniczny pas zagrożonych pustynnieniem ziem uprawnych, który rozciąga się od Senegalu po Erytreę, oddzielając piaszki Sahary od malowniczych sawann) na skraj przepaści. Młode demokracje upadły, ustępując miejsca juntom wojskowym. Konflikty etniczne rozgorzały ze zdwojoną siłą. Tysiące młodych ludzi przylączyła się do partyzantek dżihadystów, pogłębiając chaos, a dawne kolonie Francji zwracają się ku Rosji i Chinom. Obszar ten, niegdyś centrum wielu afrykańskich cywilizacji, dziś stał się areną krwawych zmagających się junt wojskowych i dżihadystów, których reperkusje możemy odczuć również w naszej części świata.

Postkolonialny domek z kart Państwa Sahelu, zwłaszcza zaś jego zachodniej części, są szczególnie narażone na wiele kryzysów ogarniających współczesny świat. Wywodzą się ze struktur kolonialnych Francuskiej Afryki Zachodniej, a ich granice w żaden sposób nie odzwierciedlają lokalnych uwarunkowań etnicznych i powiązań gospodarczych. W drugiej połowie XX wieku i na początku XXI wieku znajdowały się one pod silnym wpływem Francji, swej dawnej kolonialnej metropolii. Niektóre kraje regionu, np. Mali, demokratyzowały się w wyniku zakończenia zimnej wojny. Inne, jak Burkina Faso, pozostały brutalnymi dyktaturami. Niezależnie od wewnętrznego systemu politycznego, żadne z nich nie było w stanie ani uniezależnić się gospodarczo od Francji, ani znacząco zmniejszyć dystansu dzielącego je od krajów rozwiniętych. W naturalny sposób taki stan rzeczy budził coraz większe niezadowolenie zwykłych ludzi.

Stabilizacji sytuacji w regionie nie pomaga też zróżnicowanie etniczne



Fulani, grupa etniczna oskarżana o szczególną sympatię wobec dżihadystów, padła w ostatnich latach ofiarą akcji odwetowych i pogromów.

” Stabilizacji sytuacji w regionie nie pomagają też zróżnicowanie etniczne mieszkańców Sahelu i sztuczny podział tego obszaru. Jego przejściowy charakter pomiędzy pustynią a sawanną sprawia, że sąsiadujące ze sobą ludy wiodą diametralnie różne style życia, co nierzadko prowadzi do silnych konfliktów

mieszkańców Sahelu i sztuczny podział tego obszaru. Jego przejściowy charakter pomiędzy pustynią a sawanną sprawia, że sąsiadujące ze sobą ludy wiodą diametralnie różne style życia, co nierzadko prowadzi do silnych konfliktów. Przykładem mogą być wędrowni hodowcy bydła Fulani, których przodkowie rozprzestrzenili islam na znacznych obszarach Afryki Zachodniej w XVIII i XIX wieku. Ich wędrowny styl życia prowadzi do licznych konfliktów z osiadłymi rolnikami z doliny Nigru.

Punkt zapalny

Przez lata kryzysy narastały, jednak w 2012 roku rozpoczęło się kompletne załamanie dotychczasowego porządku. 16 stycznia tamtego roku na północy Mali wybuchło powstanie berberyjskiego ludu Tuaregów. Choć od czasu uzyskania niepodległości od Francji w 1958 roku Mali i sąsiedni Niger już kilkakrotnie zmagali się z rebeliami tego ludu, to tym razem siły buntowników osiągnęły bezprecedensowe sukcesy. Bojownicy Tuaregów, w znacznej części weterani I wojny domowej w Libii, powrócili do kraju po upadku Kaddafiego z doświadczeniem bojowym i ciężkim uzbrojeniem, spychając siły rządowe do defensywy i zdobywając Timbuktu. Ich ostatecznym celem było zmuszenie rządu Mali do uznania niepodległości północnej, saharyjskiej

części kraju jako zdominowanego przez Tuaregów Azawadu.

Początkowe sukcesy tuarejskich separatystów szybko wykorzystało regionalne ugrupowanie dżihadystyczne Ansar Dine, które zaczęło zwalczać zarówno świeckie bojówki, jak i siły rządowe. Spowodowało to silną reakcję Francji, która 11 stycznia 2013 roku rozpoczęła Operację Serwal w celu rozprawienia się z fundamentalizmem religijnym w Mali. W szybkim tempie dżihadystyczne bojówki zostały zmuszone do opuszczenia malijskich miast. Był to jednak dopiero początek regionalnego kryzysu.

W kolejnych latach lokalne struktury islamskich fundamentalistów, inspirowane zarówno przez Państwo Islamskie, jak i Al-Kaidę, nie zrezygnowały z walki zbrojnej, lecz zmieniły swą taktykę. Spektakularne przemarsze przez zdobyte miasta zastąpiła walka partyzancka, w której francuskie bombowce nie były w stanie przechrzyć szali na korzyść lokalnych rządów. Dżihadyści nie stonili od terroru wobec swych przeciwników i postronnych ofiar, ale i siły zbrojne państw Sahelu dopuściły się licznych masakr. Wewnętrzny chaos zaczęła napędzać nieubłagana demografia. Mali, Niger, Burkina Faso i inne kraje regionu wkroczyły w fazę eksplozji demograficznej, z milionami młodych ludzi w sile wieku bez perspektyw na

znalezienie jakiegokolwiek stabilnej pracy. Francja, oskarżana o prowadzenie neokolonialnej polityki i narzucanie krajom regionu nierównych umów gospodarczych, zaczęła szybko tracić poparcie w coraz bardziej niestabilnym Sahelu.

Od 2020 roku Sahel stał się częścią szerszego obszaru tzw. Pasa Zamachów Stanu. W tamtym roku armia przejęła władzę w Mali, a już w 2021 kolejna junta obaliła poprzednią. Obecna dekada przyniosła też zamach stanu w Czadzie w 2021 roku, dwa przewroty wojskowe w Burkina Faso w 2022 i zamach stanu w Nigrze w 2023 roku. W efekcie fali przewrotów kraje Sahelu, zwłaszcza zaś Mali, Burkina Faso i Niger, zmusiły francuskie i amerykańskie siły w regionie do opuszczenia swych granic, szukając nowego wsparcia w walce z terroryzmem w postaci najemników z Rosji i pomocy materialnej z Chin.

Afrykańska wersja Afganistanu?

Do tej pory wysiłki nowych junt wojskowych przyniosły efekty przeciwne do zamierzonych. Lokalne armie i rosyjscy najemnicy poprzez stosowanie zbiorowej odpowiedzialności i skrajnej przemocy wobec społeczności podejrzanych o sympatyzowanie z dżihadystami jedynie wzmacniają ich poparcie na prowincji. Sytuacja stała się na tyle poważna, że znaczne połacie północnego Mali znajdują się pod kontrolą Grupy Wsparcia Islamu i Muzułmanów (JNIM), organizacji wywodzącej się od Ansar Dine i ściśle związanej z Al-Kaidą. Bojownicy JNIM kontrolują również ponad 40% terytorium Burkina Faso. Na wielu obszarach ich głównym wrogiem nie są już siły rządowe, lecz bojówkarze Prowincji Sahel/Wielkiej Sahary

Państwa Islamskiego. Lokalni zwolennicy Państwa Islamskiego kontrolują zachodnie pogranicza Nigru i niektóre obszary wschodniego Mali, organizując stamtąd zamachy terrorystyczne w całej Afryce Zachodniej. Mimo wzmoczonej współpracy prorosyjskich junt wojskowych, dziesiątki żołnierzy i setki cywilów giną w lokalnych powstaniach dżihadystów, a same junty zdają się równie niezdolne do rozwiązania strukturalnych przyczyn w postaci powszechnej biedy i braku perspektyw, co obalone przez nie cywilne reżimy.

Czy zatem należy się obawiać powtórki afgańskiego scenariusza w Afryce, z bojownikami islamskich organizacji wkraczającymi do stołecznych miast i de facto zmuszającymi społeczność międzynarodową do zaakceptowania ich kontroli? Obecnie nie jest to najbardziej prawdopodobny scenariusz, ponieważ junty wojskowe sprawują silną kontrolę nad miastami i zdają się mieć w nich większe poparcie niż marionetkowe władze Afganistanu w przededniu zwycięstwa Talibów. Nie widać jednak obecnie szansy na szybkie rozwiązanie problemów leżących u podstaw konfliktu z dżihadystami. Jeśli lokalne wojny nadal będą trwały, to z pewnością odczujemy to również w Europie, zwłaszcza jeśli setki tysięcy ludzi będą na tyle zdesperowane, by zdecydować się na marsz przez Saharę w poszukiwaniu jakiegokolwiek szansy na lepsze życie. Dodatkowo, jeśli Mali lub jakikolwiek inny kraj regionu stanie się bazą organizacyjną dla Al-Kaidy bądź Państwa Islamskiego, stanie się to problemem zarówno dla Zachodu, jak i dla Chin oraz ich zwolenników.

Oskar KMAK

Dostępne są cały rok, ale smakują najlepiej tylko w jeden, konkretny dzień.

Specyficzny, lukrowany kształt kojarzy każdy Wielkopolanin, a kryjące się wewnątrz bogate nadzienie zasłynęło już w całej Polsce. Jak się okazuje, wyrób najpopularniejszego poznańskiego przysmaku jest sporym logistycznym wyzwaniem. Ceny rogali świętomarcińskich z roku na rok rosną, sięgając już nierzadko nawet 90 zł za kilogram. Sprawdziliśmy, za co tak naprawdę płacimy i czy warto płacić.

Mimo wzrostu cen, popularność rogali nieustannie rośnie. I to nie tylko w kraju. W ostatnich latach zauważalny jest znaczący wzrost sprzedaży wysyłkowej za granicę, głównie do Niemiec. Sympatia do poznańskich słodkości urosła do rozmiarów monstrualnych, co pokazują statystyki – niemal 700 sprzedanych ton rogali rocznie, z czego połowa, tylko w samym Dniu Świętego Marcina. Z takimi liczbami wiąże się oczywiście ogromny biznes i zysk dla przedsiębiorstw cukierniczych, które tylko szukają, gdzie można więcej zarobić, a mniej się narobić.

Przez ostatnie lata wokół rogali narosło sporo kontrowersji. Wszystko przez... certyfikat nadawany przez cech cukierniczy. Jak wiadomo, ma on na celu ujednolicenie przepisów, wyznaczając m.in. wagę smakołyku mieszczącą się w granicach 150-250 gramów, opisując konkretny sposób wałkowania ciasta, oraz wymagając użycia margaryny. Obecnie takie odznaczenie posiada 101 zakładów z Poznania i okolic. Jednak cukiernicy, ci bardziej biegli w swoim fachu, rozpoczęli swoisty bojkot. „Nie będą nas uczyli, jaki ma być rogal” – mówią, tym samym kontynuując produkcję według własnych metod i odrzucając starania o uzyskanie dyplomu.

Jednym z nich jest Natalia Zahorska, właścicielka pracowni cukierniczej Fabryka Sernika mieszczącej się na osiedlu Wichrowe Wzgórze, na poznańskich Winogradach. W rozmowie z nami wyjaśniła, dlaczego nie zależy jej na certyfikowaniu swoich wyrobów.

Czy warto w obecnych czasach starać się o uzyskanie certyfikatu?

– Nie warto. Jest to tylko podkładka dla ślepców, którzy liczą, że za tym stoi jakość i że tylko takiego rogalu można kupić. Kiedyś certyfikatu ufano, dziś cukiernicy wiedzą, że zwraca na niego uwagę tylko

Zakręcona sprawa z rogalami



Zdjęcia: fot. Kacper Lawiński / Fenestra

Przez ostatnie lata wokół rogali narosło sporo kontrowersji. Wszystko przez... certyfikat nadawany przez cech cukierniczy. Jak wiadomo, ma on na celu ujednolicenie przepisów, wyznaczając m.in. wagę smakołyku mieszczącą się w granicach 150-250 gramów, opisując konkretny sposób wałkowania ciasta, oraz wymagając użycia margaryny.

garstka ludzi. Ja stwierdziłam, że będę piekła po swojemu i nawet nie staram się o niego, a mimo to chętnych jest bardzo wielu.

Co zatem jest nie tak z tym certyfikatem?

– Dopuszcza on produkty gorszej jakości. Głównie chodzi o margarynę, która jest tańsza i nie gwarantuje takiego smaku, o jaki nam chodzi. Więc te tak zwane „oryginalne” rogalie będą mogły zawierać chociażby sztuczne olejki, biały cukier, czy

masę jajową. Za to ci, którzy używają wysokiej klasy składników, takich jak masło, miód czy świeże jajka – certyfikatu nie dostaną. Nie mogę więc używać nazwy „rogal świętomarciński” – mimo tego każdy wie o co chodzi i w niczym to klientom nie przeszkadza.

Jakie jeszcze oszustwa stosują producenci i jaką część z ogólnodostępnych przysmaków można nazwać tymi dobrymi rogalami?



Zdjęcia: fot. Kacper Lawiński / Fenestra

Jak przekonują cukiernicy, przy produkcji rogali liczy się smak i jakość, a nie certyfikat.

– Kupiłam kiedyś na próbę rogalą w jednej z popularnych sieciowych cukierni. Powiem szczerze, myślałam, że wypłuję. Może i miał certyfikat, i wyglądał dobrze, ale naprawdę nawet nie stał obok prawdziwego rogalu. Coś, co kosztuje 50 złotych za kilogram, musi być zakłamanie. Oprócz margaryny, producenci często dodają tańsze i bezwartościowe orzeszki arachidowe, zamiast orzechów włoskich. Główny smak dają masło i migdały. To one nadają aromat, dlatego my prawie wcale nie używamy sztucznych olejków, które serwują nam duże cukiernie, żeby zatuzować słabą jakość.

Rogale u was kosztują 90 złotych za kilogram. Skąd taka cena?

– Oczywiście składniki i naprawdę ogrom pracy. Ciasto półfrancuskie musi być trzykrotnie przewalowane i po każdym wałkowaniu wkładane do lodówki na 30 minut. Dlatego u

nas produkcja 10 rogali trwa jakieś 1,5 godziny. Najprzyjemniejszą częścią jest końcówka, czyli zwinięcie. Dziewczyny u mnie w cukierni wiedzą już po zeszłorocznym maratonie, z czym wiąże się listopad – jest to praca na okrągło i na najwyższych obrotach.

Gdybyś miała krótko wyjaśnić, dlaczego ludzie tak lubią rogalie świętomarcińskie?

– Smak to poezja, dlatego niemal wszyscy je lubią. Ale zdarzają się i tacy, co choć ogólnie za nimi nie przepadają, rogalą z naszej pracowni chętnie zjedzą.

Świętomarciński wypiek wydaje się być z nami od zawsze. Popularność w takiej formie, w jakiej mamy go dzisiaj, zaczął jednak zyskiwać dopiero po II wojnie światowej. Według legendy, rogal w dzisiejszej postaci miał powstać w listopadzie 1891 roku, gdy w jednym z poznańskich kościołów ksiądz Jan Lewicki z ambony zaapelował o obdarowanie czymś biednych na wzór świętego Marcina. Obecny na mszy cukiernik Józef Melzer postanowił zadziałać w tym temacie i wskrzesił starą tradycję według zachowanych przepisów. Bogatsi poznańcy kupowali od niego rogalie, aby biedni mogli posilić się nimi za darmo.

Niestety dziś już to tak nie działa. A ceny za sztukę smakołyku zaczynają się od 11 złotych, szybując w górę nawet do 25 złotych. Nie sposób jednak nie ulec temu szaleństwu. Jak wiemy, mieszkańcy Poznania słyną z lokalnego patriotyzmu i szlachetnym gestem co roku wspierają rodzimą tradycję. Jak wynika jednak z rozmów z cukiernikami, nie sztuka zjeść; sztuka to zjeść dobrze. Mimo to jedno jest pewne: od pochłonięcia kolejnych ton rogali żadna siła nas nie powstrzyma.

Często wyższa cena gwarantuje lepsze składniki.

Kacper LAWIŃSKI

Popularnym trendem ostatnich lat w kinematografii jest odrestaurowanie i wznawianie klasyków kina. Ikoniczne dla popkultury filmy Tarantino, Lyncha czy Nolana może zobaczyć na wielkim ekranie publiczność, której w roku ich premier nawet nie było na świecie. Dzięki firmie Past Perfect przyszła kolej także na utwory Miloša Formana. Po ogromnym sukcesie pokazów „Amadeusza” nadszedł czas, by przedstawić współczesnemu widzowi genialny i wysoce wieloznaczny „Lot nad kukułczym gniazdem”.

Film opowiada pozornie prostą, może nawet zabawną na powierzchni historię Randal'a McMurphy'ego, złodzieja i chili-gana, który w celu uniknięcia kary więzienia, udaje niepczytelnosc. Trafia do zakładu psychiatrycznego, w którym szybko uświadamia sobie, że ucieczka przed jednym systemem opresji zaprowadziła go w sidła kolejnego systemu, być może jeszcze gorszego. Fabuła, oparta na powieści Kena Kesey'a pod tym samym tytułem, z początku może wydawać się nieskomplikowana, a nawet zabawna – głównie ze względu na absurd sytuacji i beczelny urok głównego bohatera. McMurphy trafia jednak nie do miejsca, które mogłoby przypominać ośrodek wypoczynkowy, lecz do placówki bliskiej więzieniu, pełnej osobliwych postaci i sztywnych zasad. Proces odkrywania realiów szpitala psychiatrycznego niesie ze sobą liczne, nieoczekiwane komiczne momenty. Pod powierzchnią humoru kryje się jednak coś znacznie mroczniejszego. Pojawia się pytanie o to, jak daleko może posunąć się władza w imię kontroli nad drugim człowiekiem.

Kojarzycie zapewne, czy to z życia, czy właśnie przeróżnych dzieł kultury, figurę okrutnej pielęgniarki. Takiej, która wbija igłę w żyłę pacjenta z nieco zbyt dużym zadowoleniem i której cień rozciągający się groźnie na szpitalnym korytarzu wydaje się żyć własnym życiem. I choć ten opis trochę dramatyzuje cały schemat postaci, to pasuje idealnie do jednej z moich ulubionych antagonistek kina – siostry Mildred Ratched. Jeśli zastanawiacie się teraz, czy to nazwisko przypadkiem nie mignęło wam kiedyś podczas przeglądania oferty Netflix, to jest to jak najbardziej możliwe. W 2020 roku Ryan Mur-

phy poświęcił bowiem tej postaci cały osobny serial, reinterpetując jej historię i przedstawiając możliwe początki. Był to zdecydowanie jeden z ostatnich udanych projektów twórcy „American Horror Story”, a odniósł sukces właśnie dlatego, że rzucił nowe światło na filmową ikonę okrucieństwa. I używam tych słów z pełną świadomością ich mocy – siostra Ratched to kobieta zwyczajnie okrutna. Spół, w jaki traktuje pacjentów w filmie Formana, przyprowadza o dreszcze – podopieczni męczą się na jej oczach, a ta pozostaje niewzruszona. Liczą się dla niej tylko zasady i utrzymywanie porządku za wszelką cenę. To jedna z tych bohaterek, które wydają się pozornie „po prostu złe”, bez traumatycznej historii z dzieciństwa czy przekonującej drogi ku zepsuciu. Nietrudno jednak dostrzec, że jej zachowanie nie jest kwestią przypadku czy, tym bardziej, słabej konstrukcji postaci w scenariuszu, a raczej odzwierciedleniem działania systemu, który reprezentuje.

Warto poświęcić chwilę na zachwyt nad genialnymi kreacjami aktorskimi, których w filmie zdecydowanie nie brakuje. Nasz główny bohater, w którego wcielił się z mistrzowskim, jak zwykle, zaangażowaniem Jack Nicholson jest, cytując jednego z krytyków Filmwebu, „wręcz obłędnie lubiany”. I, choć takie słowo nie istnieje (a powinno), trudno się z tym spostrzeżeniem nie zgodzić. Człowiek o tak szerokim zakresie umiejętności, jak Nicholson potrafi wywołać w odbiorcy najbardziej szczere emocje, które w efekcie prowadzą do utożsamienia się z odgrywaną przez niego postacią na niemal osobistym poziomie. Twarz aktora zdradza wszystko, co powinniśmy w danym momencie wiedzieć o Randalu, jego myślach i otoczeniu – słowa bywają tu absolutnie zbędne. Louise Fletcher, odtwórczyni roli siostry Ratched, również prezentuje w filmie niebywale wysoki poziom aktor-

„Lot nad kukułczym gniazdem” chyba największej serc podbija swoją wysoce wieloznaczną krytyką systemu jako ogółu. Szpital psychiatryczny jest idealną reprezentacją całego społeczeństwa, Ratched wysłannikiem i narzędziem opresyjnego establishmentu, ale jednocześnie nie główną sprawczynią krzywdy podopiecznych, a jedynie ogniwem łańcucha krzywdy.



Genialny Jack Nicholson w jednej z najważniejszych ról w swojej karierze.

Uciszyć kukułki



Ponadczasowe arcydzieło Miloša Formana.

stwa. Jej cyniczny, kompletnie pozbawiony wesołości uśmieszek i wzrok spoglądający na wszystkich z wyższością przyprowadza o dreszcze oraz umieszcza ją w idealnym kontraście do postaci Randal'a. Wśród ciekawych kreacji mamy także, nomen omen, cichego bohatera filmu, Wodza Bromdena, który przez znaczną część filmu udaje niemowę. Pozostaje mu więc gra jedynie mimiką, która tak jak jego usposobienie, jest spokojna, stoicka i momentami niepokojąco wręcz stabilna. Mężczyzna tworzy niezwykle intrygujący portret wycofanego obserwatora, który niespodziewanie okazuje się najlepszym sojusznikiem głównego bohatera.

„Lot nad kukułczym gniazdem” chyba największej serc podbija swoją wysoce wieloznaczną krytyką systemu jako ogółu. Szpital psychiatryczny jest idealną reprezentacją całego społeczeństwa, Ratched wysłannikiem i narzędziem opresyjnego establishmentu, ale jednocześnie nie główną sprawczynią krzywdy podopiecznych, a jedynie ogniwem łańcucha krzywdy. Względem osób u władzy zwyczajny członek społeczeństwa zawsze będzie niżej w hierarchii, traktowany z wyższością, a przyzwolenie na okrucieństwo wobec niego będzie udzielane czy to na głos, czy w ciszy. W momencie, w którym ktoś zauważy te nieprawidłowości, wyłamie się i postawi, jak wielokrotnie robi to filmowy Randal, zostanie uznany za szaleńca. Wmówiono nam, tak samo jak pacjentom, że sprzeciw jest nienaturalny i niepożądany, a sukces czy wolność (lub raczej – ich widmo) osiągnąć można jedynie poprzez trzymanie się zasad. I właśnie to życie w spokojnej, uległej stagnacji wydaje się w filmie Formana najstraszniejsze, najbardziej szalone. Reżyser stawia widza przed niewygodnym, choć istotnym pytaniem – czy w tym pełnym zepsucia świecie aż tak straszne jest być szaleńcem?

Maria PILARSKA

Wampiriada 2025



Wampiriada 2025



Muzyka, Paryż i gruźlica

Parafrazując słowa Gombrowicza można by rzec, że „Chopin wielkim Polakiem był”. I tego nikt nie śmie negować. Nic więc dziwnego, że doczekaliśmy się o nim kolejnego filmu. Tym razem pod przewodnictwem znanego reżysera, z wielomilionowym budżetem oraz cenionym aktorem w roli głównej. Brzmi jak nieunikniony hit? Jednak czy „Chopin, Chopin!” rzeczywiście się uda?

Film w reżyserii Michała Kwietnińskiego nie jest typową produkcją biograficzną. Nie opowiada całej historii życia Chopina ani nawet początków jego muzycznej działalności. Cała akcja skupia się wyłącznie na ostatnich kilkunastu latach życia pianisty. Z tego powodu poznajemy go już jako dorosłego mężczyznę, którego kariera intensywnie się rozwija. Mieszka w Paryżu, gdzie cieszy się opinią lokalnej gwiazdy i duszy towarzystwa. Jest znany na salonach, gra uroczyste koncerty, a jego twórczość docenia nawet ówczesny król Francji. Jednak poznajemy też drugą stronę Fryderyka; człowieka chorującego na gruźlicę. Chorobę wówczas nieuleczalną, która w praktyce oznaczała odwleczony w czasie wyrok śmierci.

Legenda też człowiekiem

„Chopin, Chopin!” stara się przede wszystkim pokazać zupełnie nową perspektywę na wybitnego Polaka. Nie zapomina o jego muzyce czy patriotyzmie, ale pierwsze skrzypce grają kwestie psychologiczne. Zdaje się próbować zajrzeć do umysłu człowieka świadomego, że jego koniec jest bliski. Ostatecznie udało się to zrealizować naprawdę dobrze. Sporo w tej kwestii można zawdzięczać pracy Eryka Kulma, który doskonale poradził sobie w roli Chopina. Fryderyk w jego wykonaniu to z jednej strony rozgadany, momentami niedojrzały artysta, ale z drugiej człowiek wrażliwy i przytłoczony przez swoją chorobę.

Niezwykle istotnym oraz odważnym elementem fabuły jest nękający Chopina strach przed śmiercią. Przerazenie skryte jest głęboko pod maską charyzmatycznej gwiazdy, ale nieustannie narasta wraz z rozwojem choroby. Objawy gruźlicy nasilają się, ale Fryderyk nadal próbuje zachować pozory dawnego życia. Wykorzystuje swoje ostatnie lata, chcąc osiągnąć jak najwięcej. Nie brakuje w tym też desperackiego poszukiwania ratunku, nawet jeśli oznacza to wizyty u szarlatanów.



Fryderyk Chopin został upamiętniony na wiele sposobów

”Zauważalnym problemem w odbiorze fabuły jest też wymóg posiadania już pewnej wiedzy na temat Chopina. Przed seansem z pewnością warto odświeżyć sobie przynajmniej skrócony opis jego życia. Inaczej ze zrozumieniem części wątków, dialogów oraz kim są niektórzy bohaterowie może być trudno.

Produkcja nie wznosi Chopinowi kolejnego wyidealizowanego pomnika. Przedstawia Fryderyka jako człowieka. Wybitnego, ale nadal człowieka. Jest to odważne, kontrowersyjne podejście. Ma swoją dużą zaletę; pozwala widzom zbliżyć się

do tej wybitnej postaci. Utożsamiać się z nim. Reżyser nie boi się pokazać słabości i cierpienia polskiego kompozytora; przedstawia jego ostatnie lata jako odarte z patosu, ale nadal w pełni godne tak ważnej postaci.

Powrót do przeszłości

Jedną z najmocniejszych stron „Chopin, Chopin!” jest jego warstwa wizualna. To właśnie w tym najbardziej widać wysoki budżet produkcji. Sposób przedstawienia świata robi wrażenie od początku do końca. Dla przykładu Paryż, w którym dzieje się większość akcji, wygląda jak żywcem wyciągnięty z XIX wieku. Tłumami statystów wypełnione są zarówno przepiękne sale koncertowe, jak i brudne ulice miasta. Na tych drugich nie brakuje też licznych powozów ciągniętych przez konie. Same lokacje natomiast są pełne detali ożywiających

całe tło. Wiarygodność tego świata to nie tylko dobre miejsca, ale też znakomite kostiumy. Ubrania wszystkich postaci widocznych na ekranie (nawet tych z tła) nie wyglądają jak przebrania na bal przebierańców, lecz jak coś, co dana postać założyła nie po raz pierwszy. Świadczy o tym chociażby przeróżne ślady znoszenia stroju, widoczne tym bardziej, im biedniejszy jest ich właściciel.

Dodatkowo świat przedstawiony stara się dochować wierności rzeczywistym realiom społecznym. Paryż wieku XIX nie jest przedstawiony w wyidealizowany sposób. To miasto duszne, brudne i pełne nierówności. Dodatkowo w trakcie fabuły jesteśmy świadkami takich wydarzeń jak wybuch zbierającej krwawe żniwo epidemii oraz aktów przemocy podczas rewolucji z 1848 roku.

Pewne zgrzyty

Niestety, ale w produkcji nie znalazło się miejsce na lepsze przedstawianie innych postaci. Prawdę mówiąc, o ludziach z otoczenia Chopina nie dowiadujemy się z filmu praktycznie niczego. Szkoda, ponieważ historycznie były to również bardzo interesujące osoby i można byłoby chociaż trochę o nich opowiedzieć. Co gorsza, przez to śmieszne jednego z bohaterów nie wywołuje aż takich emocji, jakie mogłaby wywołać.

Wspomniałem, że o muzyce Chopina w filmie oczywiście nie zapomniano. Jest jej dość sporo, ale nadal zaskakująco mało jak na film o kompozytorze. Przynajmniej w kilku przypadkach stanowi ona bardziej dodatek. Zaryzykuję stwierdzenie, że miejscami utwory mogłyby zabrzmieć mocniej. Chociaż trzeba przyznać, że są też momenty, gdy dzieła Fryderyka pokazują pełnię swojej okazałości.

Zauważalnym problemem w odbiorze fabuły jest też wymóg posiadania już pewnej wiedzy na temat Chopina. Przed seansem z pewnością warto odświeżyć sobie przynajmniej skrócony opis jego życia. Inaczej ze zrozumieniem części wątków, dialogów oraz kim są niektórzy bohaterowie może być trudno. Zwłaszcza że film ma tendencję do dużych przeskoków czasowych scena po scenie. Przynajmniej są to jedynie skoki w przyszłość, a nie retrospekcje.

Ostatecznie trudno jednoznacznie ocenić, czy „Chopin, Chopin!” jest udanym filmem. Osobiście uważam go za dobrą, ale nieidealną produkcję. Przy tak dużym budżecie potencjał był na nieco więcej. Mimo tych pewnych niedociągnięć warto jednak dać szansę temu nietypowemu podejściu do filmów biograficznych.



Konkurs Chopinowski odbywa się w budynku Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Jakub SARNOWSKI

O nietypowym człowieku należy zrobić nietypowy film. Właśnie tak uczyniła Agnieszka Holland, podejmując się sportretowania jednego z najwybitniejszych pisarzy XX wieku. Franz Kafka – dla jednych ikona, dla innych postać kontrowersyjna. Dla wszystkich jednak bardzo znana i wyróżniająca się autentycznością. Reżyserka, od dziecka zafascynowana twórczością Kafki, postanowiła ukazać go w niezwykle oryginalnym wydaniu.

Historia pozostawia po sobie wielu twórców literatury, którzy wyróżniali się nie tylko alternatywnym stylem pisarskim, lecz także odmiennym podejściem do życia. Artyści ci stanowili osobliwości w społeczeństwie, a ich geniusz został doceniony dopiero długo po śmierci. Za życia często byli niezrozumiani, samotni, ogarnięci poczuciem pustki, które jednak stawiało się dla nich źródłem natchnienia. W końcu o niczym nie pisze się tak łatwo, jak o cierpieniu i negatywnych emocjach. Bohaterowie tego rodzaju nieraz doświadczały kryzysu egzystencjalnego, co wyraźnie odbija się w ich dziełach. Inteligencja i geniusz stawały się ich największymi wrogami. Do grona tych pisarzy idealnie zalicza się Franz Kafka – bohater najnowszej produkcji Agnieszki Holland, czyli człowiek, którego niszczyły jego własne słowa. Ta nietuzinkowa postać zasłużyła na film będący prawdziwym odzwierciedleniem jego osobowości. Po wielu nieudanych próbach tworzenia jego biografii, wreszcie powstało dzieło, które w pełni ukazuje Franza Kafkę i jego niezwykłą oryginalność.

Słowa a obraz

Bezdomny żebrak prosi Franza Kafkę o jedną koronę. Pisarz ma jednak przy sobie jedynie monetę dwukoronową. Podaje ją więc, prosząc o wydanie reszty. Zaskoczony żebrak nie wie, co odpowiedzieć – nie ma przecież pieniędzy, by wydać. Kafka reaguje oburzeniem i zwraca uwagę na to, jak bardzo słowa utraciły swoje znaczenie. Skoro poproszono go o jedną koronę, dlaczego miałby dawać dwie? Scena ta, otwierająca film Agnieszki Holland, w symboliczny sposób wprowadza widza w świat pisarza. Reżyserka już od pierwszych minut pokazuje, jak ogromną wagę mają dla Kafki nie tyle czyny, co samo znaczenie wypowiadanych słów. W filmach biograficznych o twórcach

Słowa wrogiem człowieka



Idan Weiss - odtwórca głównej roli w filmie „Franz Kafka”

„Najnowsza produkcja reżyserki „Zielonej granicy” nie jest kolejną, nie do końca udaną biografią tego niezwykle wybitnego pisarza. Holland, zafascynowana twórczością Kafki już od dzieciństwa, określa ją jako oryginalną i ponadczasową.

literatury bardzo trudno uchwycić i pokazać ich talent. Holland postanowiła zrobić to w sposób niekonwencjonalny: poprzez ukazanie szczególnej wartości, jaką dla Kafki mają słowa.

Tytułowy bohater uważany jest za jednego z najwybitniejszych pisarzy XX wieku. Gdzie jednak leży źródło jego uznania? Twórczość Kafki w dużej mierze opiera się na realizmie – autor skupiał się na jed-

nostce, jej egzystencji oraz codziennych problemach. Dzięki temu jego dzieła zyskały charakter uniwersalny. Fabuła większości utworów opiera się na pewnym schemacie, który nazwano „sytuacją kafkową”. Z kolei klimat jego prozy bywa mroczny, a momentami nawet surrealistyczny, co w interesujący sposób łączy się z jej życiowością. W jednym ze swoich najbardziej rozpoznawalnych dzieł – „Procesie” – pisarz ukazuje bezsilność człowieka na przykładzie głównego bohatera, Józefa K. W powieści widoczne są elementy charakterystyczne dla całej jego twórczości, co sprawia, że utwór ten jest trudny do jednoznacznej interpretacji. Wszystkie te cechy pisarstwa Kafki stały się jego znakiem rozpoznawczym, a poruszone przez niego tematy do dziś fascynują czytelników na całym świecie.

Artysta jakich mało

Fenomen filmu „Franz Kafka” w dużej mierze można przypisać autentyczności tytułowego bohatera. W jego rolę wciela się mało znany dotąd Idan Weiss – aktor, którego popularność najprawdopodobniej wkrótce znacząco wzrośnie. Jego niezwykła wrażliwość i subtelność w grze aktorskiej pozwoliły mu z wyjątkową łatwością wcielić się w Kafkę. Kreując tę postać, Holland wyraźnie zaznacza swój charakterystyczny styl – prowokacyjny, artystyczny i pełen emocji. Mimo odważnych środków wyrazu zachowuje autentyczność, bo właśnie taki był sam pisarz. Reżyserka chciała, by po tak wybitnej postaci pozostała filmowa biografia, która dorównałaby poziomem jej twórczości.

Najnowsza produkcja reżyserki „Zielonej granicy” nie jest kolejną,

nie do końca udaną biografią tego niezwykle wybitnego pisarza. Holland, zafascynowana twórczością Kafki już od dzieciństwa, określa ją jako oryginalną i ponadczasową. Tymi samymi słowami można opisać jej film o literackim idolu. Zamiast sięgać po oklepaną fabułę z elementami dokumentalnymi, reżyserka stosuje inny zabieg – ukazuje Kafkę jako osobę niezrozumianą, pełną lęków, niepotrafiącą poradzić sobie z własnymi myślami. Jego wizerunek zestawiała ze współczesnością. Choć akcja filmu toczy się na początku XX wieku, Holland uzupełniła fabułę kilkoma scenami z czasów współczesnych. W tych fragmentach przedstawia grupę ludzi, którzy z zachwytem odkrywają życie Kafki sprzed stu lat. Twórczyni filmu pragnęła sportretować pisarza jako jednego z nas, ukazując wiele podobieństw między nim a współczesnym pokoleniem. Momentami reżyserka posługuje się zabiegiem, który sprawia wrażenie, jakby bohater potrafił przewidzieć przyszłość – jakby przeczuwał, jaka będzie rzeczywistość, w której dziś żyjemy. Ten artystyczny gest podkreśla ponadczasowość postaci Franza Kafki.

Produkcja w reżyserii Holland została oficjalnym polskim kandydatem do Oscara w kategorii najlepszego filmu międzynarodowego w 2026 roku. „Franz Kafka” zyskał tym samym światową popularność. To dzieło szczególne – nieszablone, oryginalne i niezwykle odkrywcze, podobnie jak sama postać tytułowa. Kafka był pisarzem jedynym w swoim rodzaju i wreszcie doczekał się biografii godnej swojego geniuszu.

Małgorzata WALKOWIAK



Agnieszka Holland - reżyserka filmu „Franz Kafka”

Poszukiwanie własnej ścieżki

„Szczęście nie zawsze pojawia się tam, gdzie go szukamy, czasem warto poszukać go tam, gdzie nie słyszymy” – to motto przewodnie dokumentu „Nieusłyszane” autorstwa Damiana Stefańczyka i Mateusza Filipskiego. Opowiada on o Polakach, którzy wyemigrowali do Ameryki Południowej. Twórcy filmu przez wiele dni towarzyszyli swoim bohaterom w trakcie ich codzienności. Wszystko po to, aby jak najbardziej realnie ukazać dylematy Polonii.



Plakat promujący film „Nieusłyszane”

” Mimo tego, że nie każdy z nas emigrował i nie każdy z nas odczuwa potrzebę opuszczenia swojej ojczyzny, to uważam, że każdy znajdzie w tych historiach przesłanie dla siebie. Dokument nie jest obłany lukrem. Opowiada prawdziwe historie realnych ludzi, którzy chociaż zmienili swoje miejsce zamieszkania, to nie ukrywają, że decyzjom tym towarzyszyły wątpliwości.

czy być zacofanym, czy to, że nie mamy indukcji, zmywarek (...) czy to jest zacofanie? Czy zacofaniem jest myślenie, że osoby homoseksualne nie powinny zawierać związku małżeńskiego?” Tutaj pojawia się bardzo sugestywna aluzja

do ojczyzny, ale także wielu innych państw świata, które pomimo wysokiego poziomu rozwoju technologicznego, zderzają się ideologicznie z murem. Przykładem odwrotnego porządku jest Urugwaj, w którym może nie doświadczymy najnow-

szych rozwiązań technologicznych, ale jest to jedno z pierwszych państw Ameryki Południowej, w którym zalegalizowano małżeństwa osób homoseksualnych. Marta zwraca także uwagę na inny stosunek Urugwajczyków do dóbr materialnych. Wymiana przedmiotów na nowszy model nie jest tam tak popularna, jak chociażby w Polsce. Jeżeli coś się tam wymienia, to zazwyczaj dlatego, że już faktycznie nie działa. A jeśli jest sprawne i nadal użyteczne, to dlaczego miałyby zostać zmienione? Urugwaj oczami Marty sprawia wrażenie utopii, do której w stale pędzącym współczesnym świecie nie ma już powrotu.

Karnawał nierówności?

Kolejnym miejscem, do którego zabierają nas twórcy jest drugie największe miasto w Brazylii, Rio de Janeiro. Gdyby stworzyć bingo rzeczy, które moglibyśmy skojarzyć z tym miejscem, najprawdopodobniej od razu byśmy wskazali: karnawał, muzykę, śpiew i mnóstwo tańca. Owszem, takich widoków także dostarcza nam dokument „Nieusłyszane”. Ukazuje jednak także drugą, ciemniejszą stronę, która uświadamia, że Rio to przede wszystkim miasto kontrastów. Z jednej strony to nowoczesna metropolia, z drugiej są w niej również fawele, w których dominiuje przestępczość narkotykowa, gangi oraz wysoki wskaźnik zabójstw. Podczas gdy część społeczeństwa lata helikopterami, inna zaledwie kilka ulic dalej walczy o przetrwanie. Damian i Mateusz nie stronią od pokazania tej mniej cukierkowej rzeczywistości. Przewodniczką po mieście karnawału jest Ania, która na stałe mieszka tam od trzech lat. Bohaterka opowiada, że zwlekała z decyzją o przeprowadzce

do tej części świata przez blisko dwie dekady. Wyznaje, że nigdzie nie czuła, aby jej kobiecość była szanowana i respektowana w tak piękny sposób, jak właśnie w Brazylii. Patrząc na swoją sytuację z innej perspektywy, zauważa, że nadal nie jest przekonana, czy to jej miejsce na świecie oraz – czy tam przynależy.

Metodą prób i błędów

Mimo tego, że nie każdy z nas emigrował i nie każdy z nas odczuwa potrzebę opuszczenia swojej ojczyzny, to uważam, że każdy znajdzie w tych historiach przesłanie dla siebie. Dokument nie jest obłany lukrem. Opowiada prawdziwe historie realnych ludzi, którzy chociaż zmienili swoje miejsce zamieszkania, to nie ukrywają, że decyzjom tym towarzyszyły wątpliwości. Pokazuje, że podjęcie tak dużego kroku może być potknięciem na drodze, ale szukanie swojej ścieżki jest w porządku, o czym często zapominamy. Historie osób, które wyemigrowały mogą dać przestrzeń na przemyślenie tego, czym tak właściwie dla nas samych jest patriotyzm.

Autorom dokumentu udaje się także sprytnie wpleść wątki dotyczące polskości i tego, że przeprowadzka tysiące kilometrów od Wisły, nie jest jednoznaczna z utratą przywiązania do kraju, z którego się pochodzi. Nawiązując do plakatu promującego film, tak jak każdy z nas ma swoje własne linie papilarne, tak samo każdy z nas ma swoją własną, unikalną historię, która zasługuje na wysłuchanie i takim osobom z różnych sfer społecznych dali głos Damian i Mateusz, reżyserzy filmu „Nieusłyszane”.

Julia ZYGMUNT



Film „Nieusłyszane” pokazuje nie tylko historie ludzi, ale przedstawia też obraz miast, takich jak Montevideo

Damian wraz z Mateuszem zabierają nas w trwającą prawie półtorej godziny podróż do Ameryki Południowej. Oprócz wyjątkowo malowniczych krajobrazów, którymi w trakcie seansu możemy nacieszyć oko, poznajemy szóstkę bohaterów. Każdy z nich niesie bagaż doświadczeń, swój własny powód, dla którego zdecydował się na opuszczenie ojczyzny. Te historie, chociaż z pozoru tak różne, wiążą się i tworzą spójną, kompatybilną całość. Wspólnym mianownikiem wszystkich opowieści jest to, że bohaterowie podjęli decyzję o zmianie swojego życia, a co za tym idzie – często także jego dotychczasowej hierarchii. Każdy z nich wykazał się wielką odwagą, próbując odnaleźć się w innej rzeczywistości, środowisku i na innym kontynencie. Zacząć układać swoje życie praktycznie od zera. „Nieusłyszane” to jednak nie jest jednostronna laurka o heroizmie rozumianym jako postawienie wszystkiego na jedną kartę. To wsłuchanie się w realia tego, jak wygląda migracja. Opowieść o tym, że nie zawsze jest to szybki, łatwy i przyjemny proces. To możliwość usłyszenia o tym, że czasami bariera językowa okazuje się najmniejszą górą do pokonania. Duet reżyserów pozwolił, aby to bohaterowie tworzyli narrację, a nie na odwrót.

Utopia XXI wieku?

Jedną z bohaterek dokumentu jest Marta, która aktualnie mieszka w Montevideo, stolicy Urugwaju. Damian i Mateusz na kilka dni weszli do jej świata z kamerą, aby ukazać jej codzienność. Jedno ze zdań, które najbardziej zapada w pamięć, gdy opowiada o tej części świata, to: „Ten kraj pod wieloma względami jest zacofany, pytanie co to zna-

Internetowy szal ciał wokół Louisa Tomlinsona trwa. Nowym singlem brytyjski wokalista zapowiedział długo wyczekiwany, trzeci album studyjny, a wraz z nim rozpoczęcie zupełnie nowego rozdziału w swojej solowej karierze. Artysta już teraz podsyca ciekawość, sugerując wyraźną zmianę brzmienia i podejścia do muzyki.

Brytyjczyk stał się znany na całym świecie za sprawą działalności w One Direction – jednym z najpopularniejszych boysbandów w dziejach muzyki popularnej. Od 2020 roku znów jest o nim głośniej, Tomlinson ma już na koncie dwa udane solowe krążki: „Walls” oraz „Faith In The Future”, do których wkrótce dołączyć ma „How Did I Get Here?”.

Po raz pierwszy muzyk poinformował o zakończeniu prac nad nową płytą podczas tegorocznego Łódź Summer Festiwal, zapowiadając tym samym rychły powrót na światowe sceny. Więcej konkretnych informacji popłynęło ku fanom wraz z wersami „Lemonade” – pierwszego singla zapowiadającego „How Did I Get Here?”. 30 września kawałek z impetem i dużym echem wdarł się na rynek, przedłużając letni nastrój wśród wielu fanów brytyjskiego artysty. Grzmiotem, który przeszedł przez sieć po tym niezwykle jasnym błysku, okazało się ogłoszenie światowej trasy koncertowej, która rozpocznie się dwa miesiące po zaplanowanej na 23 stycznia 2026 roku premierze trzeciego albumu Tomlinsona. Przed Louistem bez dwóch zdań intensywny rok. Jednym z jego przystanków będzie PreZero Arena w Gliwicach – Brytyjczyk zagra w Polsce 4 kwietnia 2026 roku! Jego nowy projekt już teraz cieszy się wielkim zainteresowaniem słuchaczy.

„Słoneczny” Tomlinson

Trzy tygodnie wystarczyły, by oficjalne wideo z tekstem „Lemonade” wyświetlono niemal 900 tysięcy razy. Teledysk potrzebował ledwie dwunastu dni, by z ładnym zapasem przebić milion. Choć wynik ten robi wrażenie, wcale nie zaskakuje. Od pierwszych taktów utwór przykuwa uwagę swoją innością na tle wcześniejszego solowego dorobku Louisa. Wrażenie pogłębia humorystyczny teledysk utrzymany w klimacie słonecznych lat 70., doprawiony nutką absurdu. Całość wprost krzyczy: „jestem hymnem letnich przygód!”. Energetyczna linia melodyczna z miejsca podrywa z krzesła a wokal Tomlinsona – jak sama lemoniada – ma świeży i orzeź-

Świeży jak sama lemoniada



Trzeci krążek artysty zapowiadany jest jako „słoneczny” i nieco „chaotyczny”

wiający, zarazem bardzo wesoły smak. Gdy wjeżdża refren, trudno się już nie uśmiechać – mocą wyobraźni słyszy się, jak dobrze będzie on brzmieć niesiony głosem dziesiątek tysięcy ludzi podczas koncertów. Najmocniejszym atutem piosenki jest jednak szalony bridge. Tomlinson śpiewa tu w sposób pociągły, przez ponad piętnaście sekund na jednym oddechu, zupełnie jakby chciał wprowadzić słuchacza w trans. I jest w tym zaskakująco skuteczny.

W wywiadzie dla „Rolling Stone UK” wokalista zdradził, że zależało mu na tym, by pierwszy singiel z „How Did I Get Here?” był ambit-

”W wywiadzie dla „Rolling Stone UK” wokalista zdradził, że zależało mu na tym, by pierwszy singiel z „How Did I Get Here?” był ambitny, mocny i zabawny pod względem brzmienia. Fakt, że mu się to udało jest dobrą wróżbą dla całego albumu. Według zapowiedzi, na krążku słuchacze znajdą 12 utworów (14 w wersji deluxe).

ny, mocny i zabawny pod względem brzmienia. Fakt, że mu się to udało jest dobrą wróżbą dla całego albumu. Według zapowiedzi, na krążku słuchacze znajdą 12 utworów (14 w wersji deluxe). Cały powstały na Kostaryce projekt Tom-

linson zapowiada jako „słoneczny”, co stoi w intrygującym kontraście względem „Walls” oraz „Faith In The Future”. „Mam nadzieję, że album oddaje to, jak bardzo czuję się pewny siebie, a określenie »lekkie« naprawdę dobrze to opisuje. Od

dawna, zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym, nie czułem takiej lekkości i radości, więc mam nadzieję, że słyhać to na płycie” – mówił wokalista we wspomnianym wywiadzie.

Artysta wzrastający

W oczach fanów Tomlinson zyskuje dzięki udanym eksperymentom z nowymi, optymistycznymi i energetycznymi brzmieniami. Również w Polsce, w której przypadku większość biletów w gliwickiej PreZero Arenie jest już wyprzedana, a rzesza sympatyków ogromna i wierna. Umocnił ją sam Louis, nie tak dawno dając w Łodzi dowód szczytowej formy scenicznej.

Jeszcze tego lata Louis Tomlinson był jedną z głównych gwiazd podczas Łódź Summer Festiwal. Według szacunków na samym jego koncercie stawiło się ponad 100 tysięcy fanów. Na własne uszy poręczam, że z zapalem śpiewali oni za Brytyjczykiem niemalże każde słowo. Od „The Greatest” i „Written All Over Your Face”, przez „Face The Music” aż po „Out of My System”, czy też „Silver Tongues”. Nie zabrakło smaczków z repertuaru One Direction: „Night Changes”, „Where Do Broken Hearts Go” oraz – przyjętego z największym entuzjazmem – „Drag Me Down”. Od pierwszego do ostatniego dźwięku seta Tomlinson bez najmniejszego problemu skupiał na sobie uwagę tłumu. Z tą samą łatwością trafiał w wysokie, jak i niskie tony, przy czym wielu swym utworom dodał nieco rockowego sznytu – ku euforii fanów.

Ta charyzma Louisa, jego świetny kontakt z publiką i wyróżniająca się barwa głosu bez dwóch zdań mają swój udział w imponującym sukcesie świeżo ogłoszonej trasy koncertowej. Bo przecież, mimo iż póki co znamy tylko jeden utwór z „How Did I Get Here?”, bilety na kolejne promujące go koncerty rozchodzą się jak świeże bułeczki.

Louis jest artystą wciąż wzrastającym. Zarówno pod względem pewności siebie, rozpoznawalności, jak i muzycznego poziomu. W swoim najnowszym singlu pozostaje oryginalny, nośny i świeży jak sama lemoniada. Skutecznie przyciąga uwagę i podsyca ciekawość.

Dodatkowo muzyk coraz częściej udziela się też w innych, wychodzących poza samo studio nagrań, projektach. Z początkiem października nie małą sensację wzbudziło ogłoszenie powstania serialu dokumentalnego Netflix, w którym Tomlinson wystąpi wraz z Zaynem Malikiem. To pierwszy oficjalny reunion piosenkarzy od czasów odejścia Malika z One Direction w 2015 roku.



Dzięki działalności w One Direction usłyszał o nim cały świat

Marcin KLONOWSKI

Fascynacja zbrodnią i postaciami seryjnych zabójców jest głośnym tematem ostatnich lat. Po sukcesie produkcji takich jak „Dexter”, „Dahmer” lub polski „Langer”, fala niezdrowego zainteresowania makabrycznymi postaciami powróciła. Część z nich oparta jest na fikcji literackiej, jednak duża, często nie zdajemy sobie sprawy jak bardzo, liczba dotyczy prawdziwych postaci, wydarzeń, ludzkich tragedii. I taką historią jest właśnie najnowszy serial od Netflixa: „Potwór. Historia Eda Geina”.

Z początku ta produkcja wydaje się bardzo podobna do wszystkich innych, opowiadających historię seryjnych morderców. Poznajemy bohatera, zaglądamy do jego życia prywatnego. Widzimy, co go ukształtowało. Dostrajemy kilka krwawych i nieprzyjemnych scen, a potem schwytanie przez policję. Ten serial to jednak wielowątkowa opowieść o człowieku, który zainspirował pokolenia, wstrząsnął amerykańskim systemem sprawiedliwości i – jak przekonują twórcy – zmienił świat. Historia Eda Geina otwiera zupełnie nowy rozdział w próbie zagłębienia się w umysły sprawców zbrodni.

Poznajmy się lepiej

Są lata 40. XX wieku. Właśnie kończy się najkrwawsza i najokrutniejsza wojna w historii ludzkości. Do niewielkiego miasteczka La Crosse w stanie Wisconsin docierają tylko echa tego, co wydarzyło się w Europie. Zdjęcia z obozów, zakazane komiksy, opowieści zasłyszane od krewnych. Ziarno okrucieństwa trafia na podatny grunt – do umysłu Eda Geina. Chłopaka wychowywanego w odosobnieniu przez matkę fanatyczną religijną i ojca alkoholika. Jest trochę inny niż mężczyźni w jego wieku, zachowuje się bardziej jak nastolatek, a nie dorosły człowiek. Jego niecodzienne zainteresowania podsyca dziewczyna z okolicy imieniem Adeline. Wkrótce to, o czym razem fantazjowali przy mlecznych koktajlach, zmieni się w horror.

W życiu Eda następują zmiany. Jego matka niespodziewanie podupada na zdrowiu i niedługo potem umiera. Brak ojca oraz brata, jakiegokolwiek krewnego, czy innej bliskiej osoby sprawiają, że Ed zaczyna szukać sobie towarzystwa. Większość osób w takiej sytuacji poszłaby do baru, dołączyła do klubu zainteresowań, zaczęła uprawiać

Skąd bierze się zło?



Charlie Hunnam, od chuligana, przez Króla Arthura, po potwora

nowy sport lub poszukała pomocy w religii. Ed jednak postanawia udać się na cmentarz. Znaleźć matkę i sprowadzić ją z powrotem do domu. Nie liczy się, czy to konkretnie jej ciało spocznie w fotelu, ważna jest tylko obecność, która w upiorny sposób uspokaja zagubiony umysł Eda.

Inspirując się pomysłami rodem z III Rzeszy, mężczyzna zaczyna używać zwłok nie tylko jako towarzyszy. W jego domu pojawiają się krzesła z nowymi obiciami, miski, klosze lamp. Ed tworzy też specjalny strój, który „pozwała stać mu się kobietą”, co może prowadzić do rozważań nad jego tożsamością płciową. W okolicy zaczynają zniknąć kobiety, które dziwnym trafem były widziane w jego obecności. Lokalne władze nie widzą początkowo związku między tymi sprawami, aż do zaginięcia Bernice Worden. Wtedy dopiero postanawiają przeszukać dom Eda, co prowadzi do makabrycznych odkryć.

Wzór do naśladowania?

Pierwszą z pobocznych historii związanych z Edem jest opowieść o powstaniu filmu „Psychoza” Alfreda Hitchcocka. Futurospekja przenosi widza do roku 1960 i pokazuje narodziny Normana Batesa, postaci, która poruszyła odbiorców i zmieniła amerykańskie kino. To także pierwsza z wielu inspiracji i nawiązań do historii Eda Geina, które z biegiem lat zaczęły pojawiać się

„Ed Gein nigdy nie trafił do zakładu karnego. Udowodniono mu tylko dwa morderstwa, mimo tak wielu dowodów znalezionych w jego domu. Resztę życia po aresztowaniu spędził odizolowany od społeczeństwa w zamkniętym zakładzie. Poświęcił ten czas na poszukiwanie przyczyny, dlaczego nie pamięta popełnionych zbrodni i właściwie – jak doszło do tak makabrycznych wydarzeń.

na srebrnym ekranie. Kolejne, kultowe produkcje, jedne z najbardziej rozpoznawalnych tytułów kina grozy to między innymi „Teksańska masakra piłą mechaniczną” i „Milczenie owiec”. Produkcenci i reżyserowie tych filmów wyciągnęli z historii Eda Geina kawałki, z których ulepili swoje własne potwory.

Niestety, nie zawsze ta fascynacja zbrodnią kończyła się tylko na fikcji filmowej. Nie zawsze okrzyki przerażenia słyszane były wyłącznie w kinowych salach. Choć nie jest i prawdopodobnie nigdy nie zostanie to w pełni potwierdzone, Ed Gein miał swoimi zbrodniami zainspirować morderców takich jak Ted Bundy czy Jeffrey Dahmer. To właśnie Dahmer był głównym bohaterem pierwszego sezonu serii „Potwory”, a bezpośrednie nawiązanie do zbrodni Bundy’ego w ostatnim odcinku „Historii Eda Geina” może stanowić podstawę do spekulacji, że to właśnie on pojawił się jako temat

przyszłych sezonów. Czwarty z nich jest już w produkcji i ma opowiadać historię Lizzie Borden.

Mnogość trudnych tematów Dużym zaskoczeniem w tym serialu jest jego wielowątkowość. Twórcy postanowili pokazać nie tylko życie Eda Geina od pierwszych wyroków, przez proces, po śmierć. Za cel wzięli sobie uświadomienie widzom, co na niego wpłynęło i jak jego czyny rzutowały na społeczeństwo. Ta dość skomplikowana siatka połączeń może nieco zaburzać odbiór, jednak przy zagłębieniu się w tak trudne historie jest niezwykle ważna.

Ed Gein nigdy nie trafił do zakładu karnego. Udowodniono mu tylko dwa morderstwa, mimo tak wielu dowodów znalezionych w jego domu. Resztę życia po aresztowaniu spędził odizolowany od społeczeństwa w zamkniętym zakładzie. Poświęcił ten czas na poszukiwanie przyczyny, dlaczego nie pamięta popełnionych zbrodni i

właściwie – jak doszło do tak makabrycznych wydarzeń. Był on pewien, że uda mu się odkryć prawdę poprzez rozmowę z dwoma ważnymi dla niego postaciami – Christine Jorgensen oraz Ilse Koch. Jorgensen to pierwsza transpłciowa kobieta, która publicznie mówiła o swoim zabiegu korekty płci. Druga – niemiecka zbrodniarka wojenna, „Komandorowa z Buchenwaldu”, jedna z osób zajmujących się wyrobem przedmiotów z ludzkiej skóry. Dla Eda były to osoby, które mogły udzielić mu odpowiedzi na męczące go pytania. Te jednak nigdy nie padły w realu, ponieważ – jak i wiele innych wydarzeń wcześniej – działy się to tylko w wyobraźni Eda.

Trudno doszukiwać się przyczyn tak makabrycznych czynów, próba ich usprawiedliwienia nierzadko spotyka się z oporem społecznym. W przypadku Geina powodów było kilka. Pierwszym i najbardziej niszczącym, była jego ukochana matka, za którą mimo wieloletniego poniżania, niesamowicie tęsknił. Jej despotyczne rządy w domu spowodowały, że Ed uwierzył w fakt, że nikt inny nie będzie w stanie go pokochać i uzależnił się od obecności tej kobiety. Jego zagubiony umysł był niszczone przez nieleczoną schizofrenię, która powodowała halucynacje i dziury w pamięci. I jeszcze ten niezwykle trudny, demonizowany nie tylko w tamtych czasach, ale i obecnie, temat tożsamości płciowej, który został poruszony w serialu. Te wszystkie elementy dają widzowi pełen obraz człowieka, którego to on musi ocenić i wydać swój własny wyrok.

Spuścizna Eda Geina

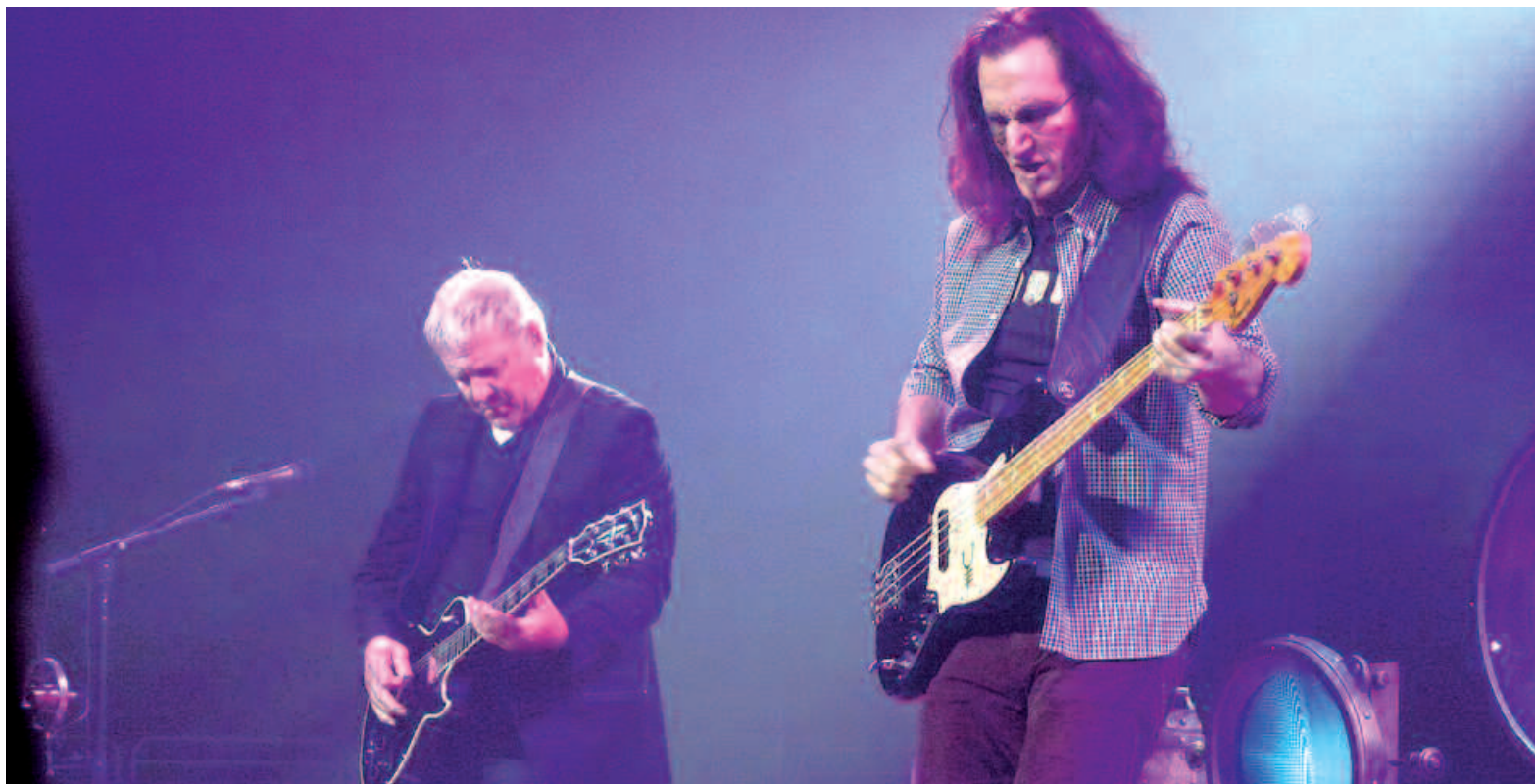
Serial ten bez wątpienia jest krwawą i momentami bardzo niepokojącą produkcją, która nie jest odpowiednia dla wszystkich widzów. Producenci nie oszczędzili nam szczegółów i zbliżeń, fundując aktorom nie lada wyzwanie. Na pewno nie jest to propozycja na spokojny jesienny wieczór z rodziną, a coś bardziej odpowiedniego, jeśli chcemy potem spać z zapalonym światłem.

Jednym z ważniejszych wniosków, jaki m. powinien pojawić się w umyśle widza, jest skala obsesyjnego wręcz zafascynowania zbrodnią w społeczeństwie. Zapoczątkowana jeszcze w latach 60. i 70. w związku z głośnymi sprawami wspomnianych morderców, trwa do dziś i przybiera na sile. Ten pociąg do makabry, jej idealizacja, czasem nawet erotyzacja jest już na tyle akceptowana, że nie budzi większego poruszenia, gdy wydarzy się nie tylko na kartach powieści czy ekranie kina. Ciągłe adaptacje oraz ekranizacje historii najmroczniejszych charakterów, serialowy Ed Gein trafnie podsumowuje słowami: „Po co mam opowiadać swoją historię, skoro została już tyle razy opowiedziana przez innych”.

Amelia OGRÓDOWCZYK

Temat powrotu zespołu Rush przewijał się od dłuższego czasu. Gdy padło oficjalne potwierdzenie, muzyczny świat wstrzymał oddech. Reaktywacja grupy pozostała dotąd jedynie marzeniem, na które czeka się z utęsknieniem, jednocześnie zdając sobie sprawę, jak mało jest ono realne... Geddy Lee i Alex Lifeson raz rozbudzali nadzieje, by kiedy indziej studzić entuzjazm, wycofując się z pomysłu powrotu na scenę. Dlatego nagranie opublikowane przez zespół 6 października wzbudziło tym większą ekscytację.

Oczekiwane zaskoczenie



Zapowiedziana trasa została nazwana „Fifty Something Tour”.

Kanadyjska grupa ostatnią trasę odbyła w 2015 roku. Śmieć Neila Pearta pięć lat później zdawała się przekreślać szanse na wznowienie jej działalności. Jak bowiem kontynuować pracę bez fundamentu zespołu i jednego z najwybitniejszych perkusistów w historii rocka? Lee i Lifeson występowali sporadycznie z repertuarem Rush. Ogłoszenie przyszłorocznej trasy po Ameryce Północnej spotkało się z tak wielkim zainteresowaniem, że pierwotnie planowana liczba 12 koncertów rozrosła się do 58. Anika Nilles, wybrana na następczynię Pearta, do tej pory była raczej nieznaną szerszej publiczności, ale w środowisku perkusyjnym od lat cieszy się poważaniem.

Kanadyjskie trio

Muzyka Rush perfekcyjnie łączy złożoność rocka progresywnego, hard rockową energię, z melodyjnością i nowofalowymi refleksami. Geddy Lee, Alex Lifeson i Neil Peart nie realizowali formuły klasycznego power tria. Lee nie tylko w studiu, ale i na scenie łączył funkcje basisty, wokalisty i klawiszowca. Peart był zarówno perkusistą, jak i perkusjonalistą, zasiadającym za monstrualnym zestawem.

Do pewnego momentu muzykę zespołu można podzielić na swoiste ery. Pierwszy okres obejmuje lata 1968-76, kiedy to formował się skład i styl grupy. Rush zostało założone przez nastolatków – Alexa Lifesona (właśc. Aleksandara Živojinovića, syna emigrantów z Jugosławii), Johna Rutsey’a i Jeffa Jonesa. Tego ostatniego szybko zastąpił Geddy Lee Weinrib (urodzony jako Gary Lee, syn polskich Żydów ocalałych z Holocaustu). Po sześciu latach Rush wydało eponimiczny debiut, a na następnym w dyskografii „Fly by Night” Rutsey’a zastąpił Neil Peart. Ten album ustanowił rzadko naruszany podział obo-

”Głos Geddy’ego Lee do tej pory polaryzuje, ale nie sposób odmówić mu wyrazistości. Jako basista odznacza się znakomitą wyczuciem, czego utworowi potrzeba.

wiązków: Peart – teksty, Geddy i Alex – muzyka.

W swoim pierwszym okresie Rush było przede wszystkim hard rockową kapelą z progowymi inklinacjami. Debiut garściami czerpie choćby z dorobku Led Zeppelin – amerykańscy radiosłuchacze początkowo myśleli, że „Working Man” to nowy utwór Zeppelinów. „Fly by Night” zachowało hard rockowy fundament, odszczącając od niego jednak blues-rocka, a zamiast tego wprowadzając elementy rocka progresywnego. Już z otwierającego płytę utworu „Anthem” wylania się bardziej zaawansowana warstwa rytmiczna. Słyszalna jest charakterystyczna dla Rush rytmika gęsta, nieregularna, operująca w nietypowych i zmieniających się metrach. Zgranie i współpraca tria już na „Fly by Night” prezentuje się intrygująco, chociaż to wciąż dopiero obiecujący potencjał.

Ambicje Rush na drugim longplayu dały o sobie znać także w postaci ponad 8-minutowego „By-Tor and the Snow Dog” – pierwszej próby zmierzenia się z większą formą. Trio śmiało podążyło w tę stronę na następnym albumie – „Caress of Steel”. Utwory „The Necromancer” i „The Fountain of Lamneth” trwały od 12 do 20 minut. Niestety, można im zarzucić pewną niespójność. Album sprzedawał się przeciętnie, zbierając różne recenzje. Straty nadrobił wieńczący początkowy okres „2112” – jedna z najbardziej cenionych płyt zespołu.

Pierwszą stronę winylowego wydania wypełniła tytułowa, podzielona na

siedem części, kompozycja. Jest to coś na pograniczu suity i małej rock-opery. Z jednej strony – poszczególne segmenty muzycznie odnoszą się do siebie, z drugiej – każdy z nich jest wyraźnie oddzielony od pozostałych. Płaszczyzna muzyczna i liryczna splatają się, tworząc komplementarną całość. Liryki Pearta to przetworzona historia z dystopii Ayn Rand „Hymn”. Otwarte inspirowanie się i wyrażanie uznania dla Rand przyczyniły się do oskarżeń zespołu o faszyzm. Niezależnie jednak od oceny jej postaci, od której Neil po latach się dystansował, oskarżenia w zestawieniu z antytotaletną i akcentującą niezależność jednostki wymową „2112” były kuriozalne. Muzycznie jest to znakomita rzecz – dźwięki wspólnie z tekstem przekazują historię, dramaturgia budowana jest doskonale, a gra muzyków pierwszorzędna – wyróżnić można rewelacyjne i zróżnicowane w narracyjnym kontekście solówki Lifesona. Druga strona winylu o bardziej piosenkowym charakterze też trzyma wysoki poziom.

Pożegnanie na dobry początek

Lata 1977-81 to czas rozwijania i doskonalenia stylu. Brzmienie zostało wzbogacone coraz to bardziej wyeksponowanymi syntezatorami, a Peart rozbudował swój zestaw o liczne perkusjonalia. Złoty okres Rush rozpoczyna album „A Farewell To Kings”. Odznacza się zwłaszcza „Xanadu” – rozbudowana kompozycja, w której techniczna maestria spotyka się z chwytliwymi melodiami, a hard roc-

kowa witalność z syntezatorowymi pejzażami. Bogata jest tu tekstura dzięki perkusjonalizm Pearta, klawiszom Geddy’ego oraz akustycznym i elektrycznym gitarom Lifesona. Drugim najważniejszym utworem na „A Farewell To Kings” stał się przebojowy, ale nie banalny „Closer To The Heart”.

Następne „Hemispheres” wypełniły zaledwie cztery utwory. Ich małą liczbę wynagradza jakość. Zwłaszcza „The Trees” i „La Villa Strangiato”. Pierwszy demonstruje umiejętność stworzenia niezwykle treściwej i złożonej kompozycji o kilkominutowym czasie trwania. Instrumentalne „La Villa Strangiato” jest natomiast kwintesencją mariażu hard rocka i rocka progresywnego w wykonaniu Rush. Instrumentalny kunszt zachwyca, pozostając podporządkowanym większej całości.

Późniejsze dwa albumy odpowiedziały na rosnącą popularność nowej fali. „Permanent Waves” błyszczący zwłaszcza w swojej pierwszej połowie. „The Spirit of Radio” i „Freewill” łączą ciekawe pomysły rytmiczne, fakturalne i harmoniczne z formą przebojowych piosenek, a „Jacob’s Ladder” to jeden z najbardziej dramatycznych utworów Rush, na szeroką skalę wykorzystujący przy tym syntezator.

„Moving Pictures” z 1981 r. często wskazywany jest jako największe dzieło Kanadyjczyków. Nowoczesne brzmienia klawiszowe i wpływy „new wave” zostały twórczo wykorzystane – od fenomenalnego „Tom Sawyer”, przez krótki, a niezwykle wyrafinowany „YYZ”. Nietypowo zróżnicowane w piosenkowym obrębie „Limelight”, po ostatnią suitę nagrałą przez Rush „The Camera Eye”. Album jest pozbawiony słabych punktów, łącząc rozrywkowy potencjał z artystycznymi

ambicjami. Od płyty „Signals” z hitem „Subdivisions” Rush skoncentrowali się na ejtisowej przebojowości, w latach 90. powracając do bardziej rockowego oblicza. Ostatnim studyjnym albumem zespołu jest „Clockwork Angels” z 2012 roku.

Powrót

Głos Geddy’ego Lee do tej pory polaryzuje, ale nie sposób odmówić mu wyrazistości. Jako basista odznacza się znakomitą wyczuciem, czego utworowi potrzeba. Alex Lifeson jako gitarzysta rytmiczny stosuje wyrafinowane akordy, nietypowe voicingi, interesującą artykulację, a jako solowy – zaskakuje eksperymentalnym podejściem, porusza niezwykle pięknym. Neila Pearta mogą podsumować nagrania koncertowe, kiedy podczas przejść w „Tom Sawyer” fani wznoszą ręce, symulując grę na bębnach. Wyobraźnia Pearta pozwoliła mu stworzyć pamiętne partie, zniuansowane artykulacyjnie, bogate w pomysły, studiowane przez kolejne pokolenia adeptów instrumentu. Precyzja rytmiczna przyczyniła się do ukucia pseudonimu „Profesor”.

Anika Nilles już dawno udowodniła, że jest odpowiednią osobą do oddania hołdu legendarnemu muzykowi. Na uznanie zapracowała publikowanymi w social mediach nagraniami, solowymi albumami czy trasą z Jeffem Beckiem. Jej styl zdaje się bardzo dobrze pasować do utworów Rush. Padają również opinie, że Niemka zarówno odda szacunek Peartowi, jak i wniesie coś od siebie. Zresztą – komu lepiej decydować o zastępcy Neila niż Geddy’emu i Alexowi? Entuzjastyczna reakcja fanów daje świadectwo zaufania wobec autentyczności muzyków i optymistycznych oczekiwań wobec perkusistki.

Aleksander GRĘDA

Tegoroczne Tour de Pologne miało szczególny charakter. W przeddzień 82. edycji polskiego wyścigu, od 20 lat należącego do prestiżowego kolarskiego cyklu World Tour, zakończenie kariery ogłosiła jedna z największych gwiazd tej dyscypliny w Polsce – Rafał Majka. Zawodnik, który swoimi sukcesami na stałe przebił się do świadomości wielu polskich kibiców i zapisał się w galerii sław polskiego kolarstwa szosowego.

Przychodzi taki okres w życiu, że człowiek mówi dość, a ja chcę odejść na szczyty. Tak, żeby nogi pamiętały, że jednak byłem tam z przodu, a nie z tyłu. Chciałbym odejść tak, żeby kibice mnie pamiętali, jako solidnego, dobrego kolarza, który robił robotę, który wygrywał te wyścigi – tak w rozmowie z Eurosportem swoją decyzję na początku sierpnia tłumaczył 36-latek. Przyznał, że wólarze grupy UAE Team Emirates, w której barwach ścigał się w ostatnich latach kariery, chcieli, by został w ekipie jeszcze nawet na dwa lata. Mimo że Majka podjął decyzję już w styczniu, przed startem sezonu, temat jego pozostania w tourze powrócił po majowym Giro d'Italia. Urodzony w Zegartowicach sportowiec we wspomnianej rozmowie powiedział, że po wyścigu władze UAE Team namawiały go, by jeździł chociaż jeszcze przez rok.

Pokusa mogła być silna. Włoski klasyk był jedynym wyścigiem zaliczanym do Wielkiego Touru, w którym nie odniósł choćby jednego etapowego zwycięstwa. W 2017 i 2021 roku wygrał po jednym etapie Vuelta a España. Nie były to jednak jego jedyne sukcesy na hiszpańskich drogach. W 2015 roku stanął na najniższym stopniu podium całego wyścigu. Choć Majka w Giro nigdy nie triumfował, ma wiele powodów, by dobrze wspominać starty na Półwyspie Apenińskim. Już w 2013 roku zakończył zmagania w klasyfikacji generalnej na siódmej lokacie. Poprawił się o jedną pozycję już w kolejnej edycji, a w 2016 roku uplasował się na piątym miejscu ze stratą trzech mi-



Rafał Majka w charakterystycznej koszulce w grochy dla najlepszego „górala” podczas Tour de France

nut i 20 sekund do podium. Spytały, czy wjechał choć raz na metę jako pierwszy podczas Giro d'Italia to coś, czego mu brakowało? Rodziny. Całe życie na walcach, całe życie poza domem. Ja kocham jeździć na rowerze, ale to wiąże się z wieloma wyrzeczeniami.

Złote lata

Ostatnim z trzech wyścigów należących do Wielkiego Touru jest Tour de France. Ten najbardziej znany. Najbardziej wymagający i prestiżowy. Właśnie nad Sekwaną Polak święcił swoje największe sukcesy w ramach cyklu World Tour. W 2014 roku został drugim w historii kolarzem z naszego kraju po Zenonie Jaskule, który odniósł etapowe zwycięstwo w wyścigu dookoła Francji. To osiągnięcie powtórzył już podczas tej samej edycji. Jakby tego było mało – całość uświetnił zwycięstwem w klasyfikacji górskiej, przywdziewając charakterystyczną i cieszącą się dużą popularnością wśród kibiców koszulkę w czerwone grochy. Dla Majki był to niezwykle wyjątkowy rok, gdyż

”Decyzja Rafała Majki o zakończeniu kariery, a właściwie moment jej podjęcia można tak naprawdę uznać za kolejny, wieńczący ją sukces. Mimo że miał propozycje, by dalej jeździć i czuł, że może to nadal robić, postanowił, iż nastał właściwy moment na zakończenie tej wieloletniej przygody.

dwa tygodnie po Tour de France wygrał klasyfikację generalną na polskiej ziemi. Polacy na zwycięstwo rodaka w całym Tour de Pologne czekali aż 11 lat.

Kolejne piękne akcenty do swojej bogatej kariery dołożył dziewięć lat temu. Znowu bowiem został najlepszym „góralem” w Tour de France. Zdobył też Mistrzostwo Polski w wyścigu ze startu wspólnego. Największych emocji w sezonie 2016 dostarczył jednak podczas Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro. Gonitwa ze startu wspólnego na brazylijskiej ziemi była przepełniona niezwykłą dramaturgią. Na jej końcowym etapie doszło bowiem do krawasku, z której Polak wyszedł bez szwanku i rozpoczął ucieczkę w kierunku mety, za którą czekał złoty

medal olimpijski. Na 1,5 kilometra przed metą dogonili go jednak Greg Van Avermaet oraz Jakob Fuglsang i lepiej wytrzymali tempo finiszu. Polak musiał więc zadowolić się brązowym krążkiem.

Zawodnik kompletny

Kibice kolarstwa, a także ludzie śledzący tour zapamiętają Majkę nie tylko za jego indywidualnych osiągnięć. 36-latek dał się poznać także jako niezwykle cenny członek zespołu. W 2014 roku jako członek Tinkoff-Saxo pomógł Alberto Contadorowi wygrać Vuelta a España. Był też bezcennym wsparciem dla wielkiej gwiazdy światowego kolarstwa w jego najnowszej historii – Tadeja Pogačara. Brązowy medalista z Rio jeździł razem ze Słoweń-

cem w UAE Team, w którym pomógł mu w wielu wyścigach.

Popularny „Zgred” wyznał w rozmowie ze stacją Eurosport, że jego forma pozwalała na ściganie się jeszcze w kolejnych latach. Potwierdzały to jego występy w ostatnim roku startów. Swoją tytaniczną pracę podczas Giro d'Italia na rzecz Meksykanina Isaaca del Toro zasłużył na nominację z rąk organizatorów na jednego z dwóch najlepszych „pomocników” zmagani. Jego partner z zespołu ostatecznie skończył rywalizację na drugim miejscu. Majka do samego końca zawodowej przygody był więc gotów do poświęceń, wykazując nieprzeciętną dyspozycję. Przełożyła się ona na drugi tytuł Mistrza Polski oraz ósme miejsce w Tour de Pologne z 59 sekundami straty do zwycięzcy, co można uznać za piękne i symboliczne zwieńczenie wielu lat występów w kolarskiej elicie.

Dalej będzie się bawił

– Ja jestem z tego zadowolony, że jednak kończę na takim poziomie, że mnie jeszcze chcieli i mógłbym jeździć. Sam jednak podjąłem tę decyzję. To już jest taka decyzja na całe życie, ja wiem o tym, ale jestem dumny z tego, jakim kolarzem byłem, jestem i jak skończę – wyznał jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich kolarzy ostatniej dekady, dodając, że czuje się spełniony. Podkreślił też, że z rowerem nie zamierza się rozstać, ale teraz będzie bardziej „bawił się” jazdą.

Decyzja Rafała Majki o zakończeniu kariery, a właściwie moment jej podjęcia można tak naprawdę uznać za kolejny, wieńczący ją sukces. Mimo że miał propozycje, by dalej jeździć i czuł, że może to nadal robić, postanowił, iż nastał właściwy moment na zakończenie tej wieloletniej przygody. W świecie sportu można znaleźć wielu zawodników, którzy w ostatnich latach swojej aktywności rozmieniali się na drobne, będąc daleko od poziomu prezentowanego w swoich najlepszych czasach. Nie burzy to rzecz jasna żmudnie budowanego pomnika. Natomiast umiejętność powiedzenia „koniec” w odpowiednim momencie teści świadczy o klasie sportowca. Tak właśnie postanowił uczynić Majka. Zszedł ze sceny, gdy wciąż był na niej całkiem dobrze widocznym aktorem. Będzie mógł bawić się kolarstwem, choć patrząc na jego karierę, można dojść do wniosku, że czynił to również jako zawodowiec.

Igor DZIEDZIC

